Nr. 13. Lwów, Niedziela dnia 25. Listopada 1877 r. Tom VI.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 4 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.

O METODZIE PRACY NAD LUDEM.

IV.

Stronnictwa polityczne wobec ludu.

Istnienie i ścieranie się stronnictw jest nieodzownym warunkiem czynnego życia politycznego. Tylko u narodów, pogrążonych w zupełnej ciemnocie umysłowej, albo u narodów przygniecionych do tego stopnia despotyzmem, iż nie mogą w żaden sposób objawiać na zewnątrz, co czują i myślą, stronnictwa istnieć nie mogą.

Jakkolwiek jednak każdy rozsądny uznać to musi, iż stronnictwa muszą wytwarzać się w każdem światlejszem społeczeństwie, to znów nikt z dobrą wiarą zaprzeczyć nie zdoła, iż eksperymenta stronnictw politycznych na widowni pracy nad ludem, nie pożytek ale szkodę narodowi przynoszą. Tę prawdę stwierdza historya wszystkich wieków i wszystkich narodów, nigdy bowiem nie apelowali szlachetni ludzie do tłumów ciemnych, a jeżeli apelowali, to prędzej czy później ginęli za wyrokiem tychże tłumów, kiedy znów nie ma tak ohydnej zbrodni, do której bez wiedne masy nie dałyby się użyć, porwane urokiem siły fizycznej, albo gdy użyto za narzędzie ich ślepe instynkta. Nie potrzebujemy daleko szukać dowodów prawdy powyższych twierdzeń. Ma ich dość własna nasza historya: Koliszczyzna za czasów Gonty i Żeleźniaka, rzeź tarnowska z r. 1846, los pdwstania ukraińskiego z r. 1863 dość wymownie podobno uczą, do czego są zdolne tłumy nie zepsute do gruntu, lecz ciemne, więc łatwo przystępne zbrodniczym podszeptom.

I cóż nam ręczy, że szlachetni apostołowie *Złotej hramoty,* polegli w r. 1863 na Ukrainie pod kosami i siekierami tych włościan, którym wolność nieśli, *ostatnimi* byli męczennikami polityki narodowej, szukającej oparcia na nieprzygotowanej do obywatelskiego życia masie ludowej?..

Krwawa pamięć pomordowanych podczas rzezi chłopskich ofiar powinna nam być jednak nauką, do czego w danym razie może nas to doprowadzić, jeżeli wszelkiemi siłami nie będziemy nad tem pracowali, ażeby w ogóle uczynić lud nieprzystępnym dla zbrodniczych podszeptów, czyli innemi słowami, ażeby wprzód zrobić z włościan ludzi ucywilizowanych, t. j. prawych nie z instynktu, ale z przekonania samowiednego, zanim zechcemy używać go do polityki.

Przypatrzmy się zresztą, do jakich wyników doszły w prowincyi naszej te stronnictwa, które próbowały albo próbują opierać politykę swoję na masach ludowych?

Oto był czas, kiedy rząd używał masy chłopstwa ciemnego, jako przeciwwagi wobec inteligencyi krajowej, poczuwającej się do obywatelskich obowiązków. W tym celu apelowano wtedy do najbrudniejszych namiętności tego ludu, systematycznie demoralizowano go. I cóż z tego wynikło? Oto, że jeżeli teraz przyjmuje się pomiędzy włościanami naszymi i mieszczaństwem małomiasteczkowem propaganda socyalistyczna, to zawdzięczać to można głównie tej okoliczności, że w sercach ludu kryje się do dziś zarzewie socyalizmu, zaszczepione niegdyś w celach polityki rządowej za czasów Stadionowskich. Czy zaś szerzący się obecnie pomiędzy ludem komunistyczny ruch umysłów jest na rękę *dzisiejszemu* rządowi — o tem niechaj nam wolno będzie wątpić.

Również nie wyszło na dobre używanie ciemnoty ludu za narzędzie polityki innemu elementowi. Mianowicie księża ruscy próbowali wyrobić sobie przewagę na wsi wobec dworu, schlebiając komunistycznym zachciankom włościan. Cel ten osiągnęli o tyle, że na dłuższy czas zachwiali zaufanie ludu do dworu. Ale oni sami nic na tem nie zyskali, gdyż wywołali znów kontragitacyą przeciwko sobie ze strony dworu, zarówno skuteczną, jak ich własne wichrzenia. W skutek tego włościanin nie wierzy u nas na Rusi zarówno dworowi, jak i księdzu. Przynajmniej wynik ostatnich wyborów sejmowych we wschodniej części kraju nie szczególniej świadczy o kredycie duchowieństwa ruskiego u włościan.

Jednem słowem — gdzie się tkniemy, wszędzie napotykamy bardzo dobitne dowody słuszności tego zdania, iż lud ciemny absolutnie żadnemu stronnictwu trwale użytecznym być nie może, z czego wynika w logicznem następstwie wniosek, iż leży to zarówno w interesie wszystkich stronnictw, ażeby lud uczynić dojrzałym umysłowo.

Na tem więc polu, tj. na polu pracy nad ucywilizowaniem ludu, walki pomiędzy stronnictwami być nie może. To stronnictwo, które zechce roztoczyć grę programów politycznych na tle ludu ciemnego, popełnia samobójstwo. Wymieniliśmy dwory, plebanie, szkoły, urzęda i prasę jako czynniki cywilizacyjne na wsi — nie czyniąc żadnej pomiędzy niemi różnicy, gdyż najmocniej przekonani jesteśmy, że wszystkie te żywioły, we własnym dobrze zrozumianym interesie, bez względu na zdarzające się pomiędzy niemi różnice zdań w innych kierunkach, na arenie pracy nad umoralnieniem i podniesieniem dobrobytu ludu nie powinny sobie przeszkadzać nawzajem, ale owszem wypada im połączonemi działać siłami. Lud oświecony później już sam najlepiej osądzi, kto mu przyjacielem szczerym.

Ktoby chciał już teraz o to spierać się, do kogo lud należy, kto rozporządzać powinien jego sercami i umysłami, ten tak postępuje, jak gdyby chciał procesować się o prawo używania podziemnych skarbów, zanim one jeszcze odkopane zostały. To prawda, że kto zawładnąć zdoła milionami ludu, ten zdobędzie sobie wielki skarb. Lecz do dziś nikt nie może powiedzieć, ażeby skarb ten posiadł. Więc lepiej weźmy się dziś wszyscy społem do pracy nad odsłonięciem tego skarbu zaklętego, jaki przedstawia uśpiona siła ludu, a potem już czas będzie na to, aby się porachować, kto, i w jakiej mierze ma go używać?

KRWAWE ZNAMIĘ.

POWIEŚĆ

przez

J. J. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

...Otóż — mówił dalej kasztelanic — pod jakiem wrażeniem musiałem w słowach

się wyrzec mojej miłości, moich nadziei, szczęścia, a przyrzec ojcu, że poślubię naznaczoną mi przez niego córkę jego przyjaciela, jedynaczkę i dziedziczkę ogromnego mienia, które nas od ruiny ratować miało... Ojciec się uspokoił... usnął, zdrowie jego polepszyło się; chciał doczekać ślubu i ta nadzieja sił mu dodała...

...Oto historya mego przeniewierstwa...— dodał Iwo. — Byłem winien chyba tem, żem spokój ostatnich godzin jego szanował, ale czyniąc to, czego on wymagał po mnie, najsilniejsze zachowałem przekonanie, iż ta, której dałem słowo, która mnie znała, nie uwierzy słysząc żem ją zdradził, nie uwierzy widząc zdradę, że zaufa mi do końca, tak jak ja ślepo, szalenie jej ufałem. Tymczasem pani na pierwszy popłoch, na wieść głuchą, uwierzywszy jej na pozór, oddałaś rękę swoję i moję przyszłość na pastwę Spytkom... Któż winien? Mamże się tłumaczyć? Ojciec zmarł zaraz po zaręczynach naszych; nazajutrz odesłałem obrączkę. Po pogrzebie leciałem do was, pewien, że wytłumaczę się, że zgładzę tę mniemaną winę moję, że znajdę tę, którą kochałem, czekającą na mnie z wiarą silną... a trafiłem w ganku na powracającą z kościoła... Potrzebaż jeszcze jakiego uniewinnienia? Czyż życie moje całe nie jest niem?... Zubożały, zszargany, ogłupiały nieszczęściem, zszedłem na istotę ściganą wzgardą a broniącą się gniewem i wściekłością... Mogłem przecie, odrzuciwszy wspomnienia, zimny, z rachubą tylko pójść się także sprzedać z imieniem i młodością za jaki grosz, którýby mi dano chętnie... a jednak spędziłem życie na zgryzotach, wierny sercu, gdy wy... wy...

— Kończcie — zimno rzekła wdowa.

— Gdy wy — odparł gniewnie Iwo — pędziliście życie spokojnie, w dostatkach, w lodowatej obojętności, z uśmiechem na ustach gniotąc trupa mojego... gdy wybudowaliście sobie szczęście.

— Tak, szczęście! — gorzko uśmiechając się powtórzyła pani Spytkowa. Po chwili podniosła głowę; twarz jej była blada, smutna... W oczach miała wyraz dziki.

— Miałażbym się tłumaczyć? ja! — spytała się śmiejąc się cicho, ironicznie. — Nie, tego nie uczynię! poniżyłabym się. Poświęciliście miłość waszę i mnie ojcu dogorywającemu, litości, słabości... Czujecie się czyści! a więc dobrze! przypisujecie mnie winę! O, już dziś mniejsza o to... Cóż mnie obchodzi wasz ojciec, wasza ta litość wspaniała, wasze wykrętne oszukaństwo?.. Co się stało, odstać się nie może... Czujesz się waćpan czystym, tem lepiej; ja was osądziłam zabójcą i nie cofnę wyroku. Co mnie obchodzi wasza rodzina, wasza wielkość, losy, ruiny, bogactwa?.. Przyniesiono mi dowód zdrady, nie wchodziłam w jej powody, wiedziałam tylko, że została spełnioną. Nie domyślałam się, że mogliście kłamać umierającemu ojcu, zamiast mu wyznać wszystko i błagać by przestając być Jaksą, został w skonaniu człowiekiem i rodzicem dla swego dziecięcia, że mogliście kłamać kobiecie, przyrzekając jej, czego nie dotrzymaliście... Co mi tam! — dorzuciła wdowa...— co się stało, jest nieodwołalnem...

Iwo szedł obok niej milczący. Wolnym krokiem, aleją cienistą kierowali się ku altanie, ku której poprzedzał ich Eugenek z Zarankiem. Na chwilę przerwała się rozmowa. Iwo spojrzał na nią dziko, ale bez nienawisci, czuł, że w tych wymówkach, którym napróżno starała się nadać pozór obojętności, grała wspomnień młodych niezapomniana muzyka... Błysk jakiejś nadziei przeleciał po jego twarzy...

— Więc winy słabości tej dla ojca... dla jedynej istoty jaką na świecie miałem naówczas — zawołał — winy słabości tej nawet całego życia męczarnie i spodlenia okupić nie mogą w oczaeh waszych? Ale spojrzcie na mnie, co ze mnie zrobiło życie, a porównajcież wasz dumny spokoj do mojej gorączki zgniłej!

Spytkowa uśmiechnęła się dziwacznie.

— Tak — rzekła — tak! ja byłam szczęśliwą, bardzo szczęśliwą!.. Odgadliście to, poznali, osądzili wybornie. Ten złocisty i marmurowy grób mój zachwycił was. Dość, nie mówmy więcej, to rzecz skończona, osądzona. Wy byliście męczennikiem, a ja istotą szczęśliwą, dlatego, że wam łachman nędzy pokrywał szaty bezecne i rozpasanie wyuzdanej swawoli, a tu mnie złoto świeciło na ramach...

— Ale pocóż to wszystko? — odezwała się po chwili z ironią; to są rzeczy niepowrotne, których wagę tylko Bóg osądzić potrafi. Mamyż się sprzeczać między sobą, kto z nas był fałszywszym, zdradliwszym i biedniejszym? Wszystko się stało, jak stać się było powinno,.. jakeśmy zasłużyli. Dziś zostało dwoje ludzi obcych sobie, co się tam kiedyś znali trochę i śmieją się ze swej przeszłości...

To mówiąc, chciała pospieszyć do syna gdy Iwo ją powstrzymał, zwalniając kroku.

— Wy mówicie — zawołał z gorączkowym wyrazem — że się wszystko stało jak było powinno... Ja nie tak łatwo to rozgrzeszę i z mojego życia skwituję... Widzicie przecie, żem lat dwadzieścia czekał, żem jak pies na łańcuchu przetrwał w nędzy i upokorzeniu u tych wrót, których otwarcia czekałem, które mi śmierć otworzyć musiała, i otwarła nakoniec. Mylicie się; życie nasze nieskończone, poczyna się ono dopiero. W głosie waszym, w oczach waszych czuję i widzę niezgasłem uczucie. Uwierzyć mi musisz, musisz przebaczyć!

To mówiąc, chciał ująć ją za rękę, gdy pani Spytkowa stanęła nagle z takim majestatem gniewu i oburzenia przed nim, z oczów jej trysnął śmiało nań wzrok tak piorunujący, iż zuchwały Iwo cofnąć się musiał i oniemiały stanął, blednieją̨c.

W istocie straszną była ta kobieta, na której czole uczucie niewieściego majestatu i potęgi, malowało się z nadzwyczajną siłą, długiemi nagromadzoną latami. Dosyć było tego spojrzenia, aby odepchnąć i odjąć wszelką nadzieję; ale Iwo cierpiał zbyt długo, a może zbyt mocno kochał, ażeby się uląkł tej groźby i uciekł od walki. Usta jego po chwili zadrgały uśmiechem bólu i szyderstwa zarazem.

— Proszę o przebaczenie — rzekł, ostygając i zmieniając głos. — Odzywając się do uczuć, które nie wystygły we mnie, nie popełniłem zbrodni... popełniłem błąd tylko. Zapomniałem czem jest serce kobiece, w którem miłość gaśnie tak prędko, a gniew nie umiera nigdy. Zostań więc pani ze swym gniewem, a pozwól mi zachować tę miłość, która życie struwszy, odebrać mi je potrafi.

Wdowa ruszyła ramionami tylko i poczęła zwolna iść dalej.

— Zdajesz się pani w to nie wierzyć, że się człowiek dobić może, gdy ostatnią straci nadzieję. Zapewne, jak jaki... Nie mogę zmusić do wiary... Od dziś dnia jednak, wyczerpnąwszy ostatnią ocalenia otuchę, pójdę szukać albo innej nadziei, lub jakiegoś końca tej nędznej komedyi. Cóż to wam szkodzi, że się do reszty skalam, zwalam i nędzny gdzieś styrany zginę? Powiesz, że się stało tak, jak się stać było powinno. W istocie, nie mówmyż o tem więcej. Jęki i żale nie przystały mi, a dla was byłyby nudne. Zatem wracamy do towarzystwa, a ja do mego charakteru.

Na te słowa zawahawszy się, pani Spytkowa, podniosła oczy... Twarz jej zupełnie była zmieniona, blada, smutna, patrzyła na Iwona ze łzą na powiece drżącą. Zdawało się, że coś powiedzieć chciała, że może słowo pociechy byłoby się z jej ust wyrwało. Jaksa poraz drugi niespodzianą nadzieją osłupiały stanął, ale wtem Eugeniusz żywo się zbliżył do matki. Spojrzał na nią i na jej towarzysza dziwnie, z przestrachem i pociągnął ją z sobą ku altanie, nim czas miała przemówić.

Jaksa po chwili odzyskał przytomność, ale poszedł za nimi zamyślony, nie zwykle milczący i nieśmiały.

I tym razem nie rozłamał on chleba, nie przyjął wina, wytłumaczył się słabością, patrzył, siedział i dumał. Eugeniusz, jakkolwiek mało znał ludzi, postrzegł w nim zmianę; ale mając doń w sercu urazę, prawie się ucieszył, widząc go chmurnym. Na obojętnej rozmowie przeszła godzina w ogrodzie, a że wieczór się zbliżał, Iwo wstał do pożegnania.

— Ponieważ państwo wyjeżdżają do Warszawy, wątpię — rzekł — żebym miał przyjemność widzieć ich już tutaj.

— Odjazd mój — obojętnie na pozór przerwała wdowa — jest dotąd tylko projektem, a kiedy przyjdzie do skutku... tego doprawdy nie wiem...

Było to jakby dodaniem nadziei; ale Jaksa zdawał się nie chcieć tego rozumieć; skłonił się lekko i dokończył:

— Pozwoli więc pani się pożegnać.

Zwrócił się potem do Eugeniusza i podał mu rękę z uśmiechem... Młody chłopak już był nieco zwolniał w uczuciu niechęci, powziętej tak nagle do kasztelanica, walczył przynajmniej z sobą, aby mu jej nie okazać.

Pożegnali się z nim grzecznie, Eugenek nawet odprowadził go do ganku, szczebiocąc.

W chwili gdy już Iwo miał siadać, niespodzianie z balkonu pierwszego piętra ukazała się blada twarz pani Spytkowej, która zawołała do syna:

— Prośże sąsiada, aby nas odwiedził jeszcze.

Iwo, nic nie odpowiadając, grzecznym ukłonem podziękował za ten znak łaski; ale twarz jego chmurna nie rozjaśniła się, a gdy młody chłopak coś mu szeptał, spełniając rozkaz matki, rzekł tylko:

— Dziękuję bardzo, ja także mam projekta podróży... nie wiem jeszcze, co zrobię z sobą.

Pani Spytkowa stała ciągle na balkonie. Iwo odwrócił się ku niej raz jeszcze, ścisnął konia i wedle swego zwyczaju czwałem popędził do domu.

Co zaszło w duszy tej kobiety od pierwszego oburzenia i gniewu, do tego miłosierdzia i spółczucia; jakim sposobem zmieniła się obraza w litość, duma w łagodność... odgadnąć było trudno.

Zaraz po odjeździe Iwona, wdowa weszła do pokoju i zamknęła się na modlitwę. Eugeniusz pozostał na ganku i pozbywszy się Zaranka, dumał tu sam jeden, głębiej niż czynił dotąd. Czuł, że w nim jakaś dziwna, niewytłumaczona zaszła zmiana, że jedną chwilą gniewu dojrzał nagle i stał się mężczyzną, na którego ramionach ciężkie spoczęło brzemię. Człowiek ten, ku któremu niedawno czuł pociąg i słabość, stał się dlań nienawistnym; jego zbliżenie się do matki zaczynało go oburzać i niecierpliwić; niepokoił się, sam dobrze nie umiejąc sobie wytłumaczyć przyczyn tej obawy i wstrętu.

(C. d. n.)

BITWA POD IGNACEWEM

I ODWRÓT Z POD KLECZEWA.

(Wyjątek z pamiętników o powstaniu 1863. r.)

Ileż to razy zdarzyło nam się i jeszcze ciągle zdarza się słyszeć takie zarzuty: że powstanie nasze niepotrzebne było; że nic a nic dobrego w swych następstwach nie przyniosło krajowi; że biliśmy się jak najgorzej; że naszem tchórzostwem pokazaliśmy zupełnie, że nasze pokolenie tak jest upadłe, że nawet w przybliżeniu nie może dorównać poprzednim, n. p. temu co walczyło w r. 1831 — którego jednak po odniesieniu tylu znakomitych zwycięstw ucieczka na emigracyę i wydanie na łup wrogowi ojczyzny, choć do tego brak sił i niemożność prowadzenia dalszej walki bynajmniej nie zmuszała, nie wiemy, czy może zaszczyt przynosić.

Otóż pytanie teraz, czy te wszystkie zarzuty stawiane tak powszechnie nam rozbitkom z r. 1863 i 1864 są słuszne, a mianowicie: Czy powstanie ostatnie wśród klęsk i pożogi nie zasiało nic dobrego dla przyszłości? Czy to brak męstwa partyzantów był powodem klęski, czy też te same przyczyny jeszcze, dla jakich począwszy od Konfederacyi Barskiej wszystkie powstania w podobny sposób się kończyły? Od rozwiązania bezstronnego tej ostatniej kwestyi, zależy dopiero gruntowna odpowiedź na nowe pytanie, jakie się pomimowolnie nasuwa każdemu: W jaki sposób postępować powinno sobie przyszłe pokolenie, które nieuniknienie w danym czasie za przykładem poprzedzających wystąpi do boju, aby z kolei dopełnić obowiązku względem kraju, i aby pomimo wszelkich przeszkód, gniewów, zakleć, odradzań, jakich dozna od swoich i cudzych, osiągnąć zwycięstwo?

Wyjaśnienie tych zagadnień jest nadzwyczaj ważne, a powinno być ono szczególnem zadaniem dla tych wszystkich, zwłaszcza co się trudnią badaniem ojczystej historyi, pojmując ją jako doświadczenie i naukę podawaną przyszłości przez przeszłość, a nie jako martwą archeologią lub kronikę notującą wypadki, ale nieumiejącą sobie zdać z nich sprawy, ani też nic więcej nadto zobaczyć, że to i owo dnia tego i roku się stało. Co do nas, nie mogąc się wdawać tutaj w obszerniejsze wyjaśnienia w tym względzie, wspomniemy tylko tyle o tem, ile nam potrzeba do wyjaśnienia przytoczonego poniżej przykładu, jednego z pomiędzy tylu innych jeszcze, że bynajmniej pod względem męstwa nie jesteśmy tak wyrodnymi następcami naszych walecznych poprzedników. Jeżeli bowiem upadliśmy, to zawsze tak samo jak i tyle poprzednich wysileń narodu, nie z braku sił, męztwa lub niemożności zwyciężenia najezdców, ale z innej chociaż własnej winy, bo z niedojrzałości narodowej, z niedopełnienia warunków niezbędnych dla naszego wyswobodzenia się. Nie pojmowaliśmy też tej wielkiej prawdy, że osiągnienie ostatecznego skutku w sprawie naszej nie zależy nigdy od samego powstania, ale przedewszystkiem od przygotowania do niego, czyli głównie od tego jak się naród wyrobi moralnie i umysłowo w czasie pomiędzy powstaniem ostatniem a przyszłem, jak n. p. względem nas było w okresie czasu zawartym pomiędzy powstaniem 1848 r. a 1863.

Kiedy się mówi o wypadkach krajowych, a zwłaszcza tak świeżych jak nasze ostatnie, trudno jest nieraz powstrzymać oburzenie, ale pomimo tego potrzeba się starać, aby je sądzić zawsze sprawiedliwie, to jest gruntownie i bezstronnie. Do czegoż bowiem dobrego doprowadzić mogą wszystkie potępienia niesłuszne lub pochwały niezasłużone? Starajmy się przedewszystkiem o prawdę, ta szczerze wypowiedziana niczemu nie zaszkodzi, a dopiero też naszej sprawie, spoczywającej na niej, jako na niewzruszonym fundamencie. Kto więc się dotyka badania naszych powstań, niechże się bierze do tego bez uprzedzeń i przesady, niech przedstawia wypadki tak jak były, i dopiero stara się ocenić je słusznie i wyczytać z nich ich istotne znaczenie. Tą drogą idąc, dójdziemy do wielu nieocenionych spostrzeżeń, o których prawdziwości nikt sumiennie wtedy zaprzeczyć nie zdoła, jak n. p. między innemi: Że pomimo upadku tylu naszych powstań, najezdcy nigdy nie odnieśli nad nami zwycięstwa, bo go odnieść nie byli i nie są w stanie. To co się w r. 1831 może najdobitniej pokazało, powtórzyło się tak w ostatniem jak i we wszystkich dotychczasowych powstaniach, że po zwycięstwach i przy całej jeszcze niezaprzeczonej możności osiągnienia stanowczego celu, to jest wymiecenia nieproszonych gości, rzucamy broń sami, a to bynajmniej nie z tchórzostwa, ani zdrady, lekkomyślności i tak dalej, jak nam zarzucają, ale po prostu z niedojrzałości jeszcze narodowej myśli, przez co zwyciężając nie wiemy co dalej robić. Skutkiem to tej niedojrzałości narodowej, z której przecież wyjdziemy, pochodzi to, że jak nie umiemy sprawiedliwie oceniać wypadków i użyć energicznych środków, aby one pomyślnie dla nas poszły, tak nie możemy dokładnie sobie zdać sprawy z naszych dążeń i z celu naszej ogromnej przyszłości, który dopiero czujemy coraz to wyraźniej, ale nie jesteśmy jeszcze w stanie wypowiedzieć tak, aby słowo w zupełności zadowolniło to tak silne poczucie, lecz jeszcze nam nieokreślenie się przedstawiające.

Ostatnie nasze powstanie, tak jeszcze z umysłu lub z niezastanowienia się źle pojmowane wyklinane, przyniosło jednak dla narodowej sprawy wiele nieocenionych następstw, rozwiązało wiele pytań niesłychanej dla naszych następców doniosłości. Dokonało ono tego najzupełniej, co było do dokonania w duchownem jego zadaniu, aby narodową sprawę posunąć znakomitym krokiem naprzód ku ostatecznemu jej rozwiązaniu, aby myśl narodową przybliżyć do dojrzałości. Dziś z po za tylu nieszczęść publicznych nie wszyscy możemy dojrzeć jego zbawiennych następstw, ale jutro ujrzymy to, że ono dopełniło to wszystko, co dopełnić mogło i miało. Wiele by to można było o tych następstwach powiedzieć, ale oddaliłoby to nas od przedmiotu, ograniczymy się zatem w odpowiedzi przeciwnikom potępiającym to nasze ostatnie, choć dotychczas jedno z najbardziej narodowych powstań, na przytoczeniu kilku tylko z pomiędzy innych doświadczeń, jakie sprawa nasza osiągnęła, a które nie ma wątpliwości, że wiele przyczynią się teraz do narodowej dojrzałości, a przez to i do uniknienia nowych zawodów w przyszłości. Otóż ostatnie powstanie niezaprzeczenie dowiodło między innemi:

1. Że jak powstania sztuką niepodobna wywołać i wszelkie usiłowania w tym względzie spełzną zawsze na niczem tak zawsze skoro duch narodowy czuje jego nieubłaganą potrzebę, aby sprawę posunąć o krok naprzód, jak było dotąd, albo też ją ostatecznie tryumfująco rozwiązać, jak w przyszłości będzie, to wtedy nie ma potęgi na świecie, któraby jego wybuch powstrzymać zdołała, lub nawet opóźniła o wiele. Przekonani zatem jesteśmy, że nasi następcy, zrozumiawszy to, inaczej jak dotychczas będą się zapatrywać na rzeczy, ztąd też kiedy naturalnem następstwem naszego położenia, przyszłe powstanie będzie juz znowu, że tak powiemy, w powietrzu, jak nasze było przed wybuchem 1863 r., to ogłoszą wszystkich jego przeciwników bezwarunkowo za winnych. Obowiązkiem bowiem wtedy każdego jest dopomagać wypadkom, już niemożliwym do powstrzymania, aby odbyły się jak najpomyślniej, a nie opierać im się, co jest i bezskuteczne i zabójcze dla sprawy. Poczucia tego dotąd nie mieliśmy, ale okaże się ono w całej pełni w następcach naszych, jako logiczna konieczność. Na wyrobie tego pojęcia w narodzie zyska wiele sprawa, a ubezwładni się ludzi niepoprawnie złych, a raczej bezmyślnych i niewidzących, czego w istocie chcą, a pomimo to tak czelnych, że się pną do góry.

2. Że do upadku ostatniego powstania, tak jak i wszystkich dotychczasowych, przyczynili się głównie nie ci, co w nim udział przyjęli i stojąc wyżej, niestety, nawet grube błędy pomimo woli popełnili, ale jedynie ci co z obojętnością usunęli się na bok od niego, a najwięcej ci, co się opierali wybuchowi, skoro on był już w narodzie nieunikniony, i jako taki opatrznie potrzebny.

3. Że powstania nasze upadają nie z winy nieoświeconych mas narodu, ale właśnie z winy tak zwanej inteligencyi, grzeszącej cudzoziemskiemi pojęciami, nieudolnością, brakiem energii, niesumiennem dopełnianiem obowiązków i nierozciągnięciem nad sobą tej surowej odpowiedzialności, do której winowajców nieoświeconych tak ona lubi pociągać.

4. Że powierzanie jakiegokolwiek naczelnego kierownictwa znakomitościom, przechowanym z poprzedzającego powstania, ma nieuni-

knienie fatalnem następstwem zabicie rozpoczynającego się wystąpienia narodu. Pochodzi to z bardzo prostej przyczyny, że te wszystkie przesławne znakomitości, są tylko już poprzednio wypróbowanemi i patentowanemi niedołęgami bez energii i zdolności, a pomimo to tak pełnemi pretensyi nieuzasadnionych, jak zdemoralizowanemi przez poprzednie niepowodzenia. Gdyby inaczej być mogło, to ludzie ci, stojąc u steru poprzednio, w czasie swej młodości, to jest nie zużytej wiary i entuzyazmu dla sprawy, byliby przedewszystkiem swem niedołęstwem nie zaprzepaścili wtedy powstania. Nieznajomość tej zasady krwawo się wypisała w naszych stuletnich walkach, w których pozwolono tym samym niedołężnikom po dwa i trzy razy brać przewodnictwo bez odpowiedzialności, a przez to samo tyleż razy ściągać straszliwą klęskę na naród.

5. Że nic też szkodliwszego, jak to wytwarzanie sobie naprzód nie wiedzieć po co i skutkiem jakich zasług, owych rozmaitych znakomitości czy na emigracyi czy w kraju, które potem są trudną do usunięcia przeszkodą, aby nowe pokolenie, występujące z kolei do czynu, wydało z siebie, tak jak powinno istotnie, wydać odpowiednich potrzebom czasu i okoliczności reprezentantów. Bałwochwalstwo osób, tak niezgodne z dziejowym duchem naszego narodu, nie można dość wypowiedzieć, na jakie nas naraziło zawody.

6. Że jak dziś chcąc kogokolwiek z nas sprawiedliwie ocenić, należy przedewszystkiem koniecznie zwrócić na to uwagę, jakim się okazał w ostatnich wypadkach, tak znowu przyszłe pokolenie, używając w czasie powstania ludzi, powinno szczególnie na to baczyć, jakim kto był w czasie przedpowstańczym. W nagłe nawrócenia nie godzi się łatwo uwierzyć, bo choćby one i istotnie szczeremi były, to jednak będzie słuszniej i przezorniej nie ufać, gdyż łatwowierność nasza tyle razy nas już dotkliwie zawiodła. Kto bowiem żył przed powstaniem tak, że przynosił ujmę godności narodowej i szkodę krajowi, powinien być przedewszystkiem wprzód za to do odpowiedzialności pociągnięty. Cóż bowiem jest naturalniejszego i sprawiedliwszego na świecie jak kara za grzechy, która powinna być tem cięższa, im osoba je popełniająca stała wyżej. Jesteśmy pewni, że przyszłe pokolenie rozwinie nareszcie pod tym względem nieznaną dotąd u nas energię, bo potrzeba tego jest wielka.

7. Że jak wróg militarnemi, administracyjnemi i t. p. żadnemi środkami nie jest w możności przeszkodzenia wybuchowi narodowego powstania, tak też potem w jego pokonaniu jest najzupełniej bezsilnym. Że jednak dotąd zawsze na końcu wziął nad nami górę, to bynajmniej nie skutkiem jego własnej a potężniejszej od naszej siły, ale tylko prostem następstwem błędów popełnionych przez nas z powodu dotychczasowej niedojrzałości narodowej, co w przyszłości z wielu względów sądząc, można na pewne powiedzieć, że nie będzie miało miejsca.

8. Że partyzantami nawet po raz pierwszy byle umiejętnie poprowadzonemi do boju można rozbijać choćby i liczniejsze nieprzyjaciela regularne wojsko, jak tego mieliśmy w tem powstaniu tyle przykładów niezaprzeczonych, z których właśnie jeden taki podajemy poniżej dla przekonania, że nie brakowało nam męstwa i że nie wskutek tego braku ostatnie powstanie upadło.

9. Że z tych partyzantów, z którymi niewiedzieli co zrobić łaskawie przybyli do nas panowie oficerowie z rozmaitych regularnych armii, można jednak było wśród ciągłych bitw i utarczek, w dość krótkim stosunkowo czasie, wyrobić regularne wojsko, dzielnością swoją przewyższające wszelkie inne. Gdyby zamiast demoralizowania naszej wiary rozpuszczaniem na kwatery, niedołęstwem starszyzny, niepociąganej do nieubłaganej odpowiedzialności za swe przewinienia, była ona entuzyazmowana z góry, to czegożby z tymi ludźmi dokonać, na cóż by się odważyć z pewnością pomyślnego skutku nie można było.

10. Że niepowodzenia nasze bynajmniej nie mogą być tłumaczone brakiem broni, amunicyi, ludzi itp., bo pomimo niedopuszczania przewozu przez ościenne państwa, ileż to wróg zabrał porzuconej broni na polu bitwy, ile jej odkopał z ziemi, ile to tysięcy pochwytał porozpuszczanych na kwatery ludzi. To pokazuje, że owe wszystkie gromadzenia broni, pieniędzy itd. przed powstaniem, jakkolwiek są arcychwalebne i pożyteczne, najszkodliwszym jest błędem mniemać, że jedynie tylko są zdolne zapewnić przyszłe zwycięstwo. Że tak nie jest to powstania z r. 1831 i 1863 aż nadto przekonywają. Zwycięstwo militarne zawisło tylko od dojrzałości narodowej myśli w epoce przedpowstańczej i o to się przedewszystkiem starać należy, bo wobec tego zadania jest wszystko inne podrzędnem.

11. Że jeżeli powstanie źle idzie, a sterownicy jego nie zostaną natychmiast zdolniejszymi zastąpieni i do odpowiedzialności pociągnięci, to można być pewnym, że dopuszczono się samobójstwa na wysileniu narodowem, byle tylko nie robić przykrości ambitnym i zarozumiałym niedołęgom, co dotychczas na nieszczęście zawsze miało u nas miejsce i na co przyszłe pokolenie powinno szczególną zwrócić uwagę. W ostatniem powstaniu widzieliśmy, że dość niedołężny Rząd został zwalony i zastąpiony sto razy gorszemi niedołęgami, tylko, że jeszcze intrygantami.

12. Że pokolenie rozpoczynające powstanie, jeżeli do szczętu z ducha swego nie wytępi myśli o pomocy obcej, już przez to samo skazało się na śmierć, na emigracyą, na knuty, na popędzenie w Sybir, na wpakowanie w szeregi pułków moskiewskich. Nikt bowiem z cudzoziemców nie dopełni za nas naszych obowiązków, a Polska nawet, gdyby to i podobnem do prawdy być mogło, wyszachrowana dyplomacyą cudzoziemców lub ich krwią wyswobodzona, nie ostałaby się na długo i paśćby tak musiała jak księstwo warszawskie brakiem samodzielności i celu istnienia. Mamy samodzielnością własną i siłą z siebie zaczerpniętą dojść do upragnionego celu, aby dokonać narodowego w świecie posłannictwa, którego nikt za nas nie spełni. Dziś już w kraju poczynają powszechnie spostrzegać niedorzeczność owej dawnej chęci pomocy cudzej; z postępem coraz większym narodowej myśli coraz też bardziej będziemy poznawać monstrualność tego żądania, które gdyby się nawet i mogło stać, pokazałoby nam dopiero całą swą szkodliwość. Naród, co się upiera przy chęci stanięcia siłą obcą a nie własną, skazuje się na śmierć bez ratunku i bez chwały. Nasza sprawa jest tego rodzaju, że nam jeden Bóg tylko pomódz może i pomoże, jeżeli dopełnimy potrzebnych warunków poświęceniem, energią, samodzielnym wyrobem dziejowej myśli, tak zasnutej dziś cudzoziemskiemi pojęciami. Inaczej możnaż przypuszczać, aby doskonały i sprawiedliwy Bóg miał dopomagać jęczącym niedołęgom, a nie chcącym się zastanowić, że każdy naród ma coś samodzielnego w ludzkości dokonać i że dostał dostateczną w sobie siłę, aby tego skutecznie dopełnić.

Otóż to są niektóre pewniki, objawiające się dzisiaj w Kongresówce w umyśle ludzi gorliwych o dobro całego narodu. Kto będzie się gruntownie nad upadłem naszem powstaniem zastanawiał, ten przyzna niezawodnie, że pomimo swych wad i niedostatków ma dobrą stronę, bo poruszyło ono do gruntu cały naród, przyniosło tyle, co żadne inne doświadczenia, rozwiązało tyle zawiłych dotąd zagadnień, powołało całe masy narodu do pracy, przyspieszyło owe ostateczne dojrzenie narodowej myśli, a przez to samo jest ono niezmiernie dla przyszłości ważne.

Nic dziwnego, że Moskale do szaleństwa przywiedzeni tem powstaniem, mszczą się teraz i starają pamięć jego zohydzić, czują oni to lepiej od wielu z nas, że wypadki 1863 r. są zapowiedzią bliskiego końca ich panowania, jak niemniej końca naszej narodowej pokuty, która się wkrótce w straszliwy sposób dla nich rozpocznie. Po raz to pierwszy tak może wyraźnie ujrzeli, że ich potęga tak straszna dla innych narodów, jest niczem dla polskiego powstańca. Pomimo tylu błędów i niedołęstwa takiego w kierujących, garstka powstańców przez 18 miesięcy prowadziła bój, wstrząsając kolosem na glinianych nogach aż do fundamentów. Upadliśmy! ale możemy ze sprawiedliwą dumą powiedzieć sobie, że bynajmniej nie od moskiewskiego oręża. Któż nas kiedy zwyciężył? Nie istniejemy, bo Bóg rozchwiał nasze wysilenia, abyśmy się pozbyli zakorzenionych wad z organizmu narodowego, a wyrobili w sobie samodzielnie te dobre na nowo przymioty, jakieśmy posiadali w kwitnącej epoce kraju, a które są tak potrzebnemi dla naszej wielkiej przyszłości. Jeżeli teraz mieliśmy w powstaniu tyle stron słabych, to Moskale dobrze czują, że z doświadczenia skorzystawszy, przyszłe pokolenie może ich nie mieć, a wtedy niewątpliwy powrót hord carskich do siedlisk nad Oką. Mszczą się zatem, nie wiedząc, że może przez to zrządzeniem Opatrzności przyspieszą sobie sami chwilę owego rozstania się z nami na zawsze.....

Tyle więc na teraz w odpowiedzi tym wszystkim, co się nie mogą zebrać na sąd bezstronny ostatniego powstania, najbardziej narodowego ze wszystkich dotychczasowych, a jako takie nie wyszłego ze sztucznych pobudzań spiskowców, ale będącego najnaturalniejszem i nieuniknionem następstwem naszego anormalnego położenia. Teraz przejdziemy do drugiego zadania niniejszego artykułu, aby odpowiedzieć na zarzut, że nam na męstwie zbywało. Przytoczymy tu jako dowód jeden tylko z mało znanych epizodów partyzanckiej wojny, a w jakie ostatnie powstanie dość obfitowało. Z niego to można przyznać prawdę temu, co lud w Kongresówce po 1831 r. tak jak i teraz po powstaniu 1863 nie bez słuszności powtarza: „Myśmy się dobrze bili, tylko nas starszyzna zdradziła.“ Straszne to oskarżenie, a i słuszne, bo zdradza się nietylko za pieniądze, co istotnie jest rzadkie w naszych powstaniach, ale, co za to często bywa, w imię bezmyślności, lekceważenia obowiązków, niepamięci na dobro narodu, ambicyi, prywaty itp. wad, bez których pozbycia się nie ma dla nas zbawienia.

(C. d. n.)

TYPY TROPIKALNE

przez

SYGURDA WIŚNIOWSKIEGO.

Jak zabawnie brzmią dla bywalca naiwne pytania domatorów, co wzdychając ze swojskiej klatki do chociażby krótkiego polotu w świat, daleko po za morza, po za ohydy tak zwanej cywilizacyi, lękliwie pytają o szczegóły urojonych niebezpieczeństw, które wedle ich pojęć spotykają wędrowców. Ten się obawia, ażali skwary równika i wichry Kanady zostawiłyby w nim iskrę życia do powrotu, tamten chce, żeby mu słowami odmalować okropność owej „burzy morskiej,“ o której każdy lądowiec słyszał więcej od majtka, co żywot spędził na fali. Nie pamięta on, że choć burza huczy, majtek nie wie, że na burzę patrzy — oswoiwszy się z tym fenomenem, jak mieszkaniec miasta z gwarem ulicy. Gdy tak pytają o strachy, malowane w bujnej fantazyi, żaden nie pomyśli o realnej grozie zapasów z obcym zupełnie światem — jak trudno wyjść z nich obronną ręką i z honorem, bez nadzwyczajnego szczęścia lub rzadkiej energii. Szczęśliwie zrządziły niebiosa, napełniając lekkomyślne serca urojoną trwogą, aby powstrzymać je od awanturniczego rzucania się w rzeczywiste sidła, z których ujść trudniej, niż przed huraganem tropikalnym i przed wichrem pod przylądkiem Horn.

Przyznamy jednakże, że niekiedy obce morza i lądy srożą się, że dopiero po pewnem zahartowaniu zaczynamy nie dbać o te straszydła. Ale czasem, w krajach wiecznej wiosny, przyjmują one podróżnika z tak gładkiem licem, z tak ciepłem tchnieniem, że je ten na wieki pokocha; tak się wpajają w pamięć, jak wspomnienie śpiewu Syreny, i wciąż go potem wabią ku sobie. Obrazek ich wysuwa się z szufladki na samem dnie pamięci w chwilach zniechęcenia światem nie tyle łaskawym — wzdychamy, rwiemy się, jedziemy, jeżeli tylko okoliczności pozwalają, do ciepła, kwiecia, kolibrów — *dolce far niente*.

Takie obrazki ścigają nas, niby widziadło pierwszej kochanki. Odmaluję niektóre.

Wielki, brzuchaty statek — hotel pływający z kilkuset gośćmi, i spokojny, bo ani nawiedziny wierzycieli, ani rozmowy o interesach, ani pukanie listonosza ze smutnemi nowinami, ani gazety z przypomnieniami o ohydach, dziejących się co sekunda na tym Bożym świecie, nie trują spoczynku w tym pływającym hotelu. Dziób statka zwrócił się ku południowi, maszty drżą jak w febrze; wielki potwór płynie majestatycznie po toni Atlantyku, ujętej snem lipcowym. Tam zachodzi słońce za sinemi i purpurowemi szczytami gór Allegańskich, tam Nowy świat w zmroku tonie, tu na lewo wynurzają się ze szkła ruchomego, jeden po drugim, tabuny gwiaździste, a za niemi wypływa księżyc, pasterz srebrnej trzody. I w wielkim Oceanie, i w każdej zmarszczce wyrytej piersią czarnego łabędzia, co nas wiezie, odbija się ten pasterz, i to stado, i firmament cały. Muzyka gra na pokładzie, pary mkną w uściskach walca; wesoło nam, zapominamy, co się działo przed godziną.

Tam, gdzie Hudson objął Manhatanę, wyspę, z której wyrosły mury New-Yorku, przed godziną jeszcze odbywały się tragiczne i komiczne sceny na tymże pokładzie. Mężowie żegnali żony, kochanki narzeczonych, dzieci i rodziny wyrwać nie mógł z uścisków wzajemnych nawet trzeci gwizd parowca. Pocałunki i łzy, jęki i śmiechy mięszały się nakształt kaprysów marcowego nieba. Na tej twarzy malował się smutek Nioby — zamurdzanej, bo pyłki sadzy z komina z łzami się zmięszały i w długich pręgach osiadły na różanych jagodach. Tamten krzywił się uśmiechem szyderczego zadowolenia, snać rad opuszczał ziemię, co tylko kolce dla niego wydawała. Ale statek zaszumiał, żegnających na groblę spędzono, mijamy „bateryą,“ ostatni cypel New-Yorku, obronny niegdyś, dziś w park zmieniony, okrążony „Długą wyspą,“ jesteśmy na morzu, brudne twarze umyły się, łzy wyschły, orkiestra okrętowa zagrała, piosenki i tańce, wielki statek *Colon*, należący do *Pacific and Atlantic Mail Company* (kompanii żeglugi na Atlantyku i Pacyfiku), zaczyna swoję podróż ku tropikalnym krajom.

Jako bywalcy, nie tańczymy, nie śpiewamy, ale pamiętamy o „numerze 1,“ czyli o sobie. W naszej kajucie są 4 łóżka, parami wzdłuż ścian, jedno po nad drugiem. Kto wie, czy który z naszych spółlokatorów nie zachoruje na morską chorobę, a w takim razie lepiej spać nad nim, niż pod nim. Więc gdy oni tańczą, wódz ostrożny ubiega rodzaj morskiej Plewny i fortyfikuje się w niej, kładąc w najwyższe łóżko swój parasol, kapelusz itp. rupiecia, jako znak zajęcia owego łoża na własność. Po tej strategicznej zdobyczy rozglądamy się dokoła i miarkujemy z westchnieniem, iż w kajucie nie ma miejsca na naszę walizkę, więc że ją wypadnie posłać do magazynu okrętowego, gdzie utonie na kilka dni, zostawiając bez bielizny i tysiąca rzeczy niezbędnych. Druga smutna refleksya zjawia się w postaci obawy, ażali który z współwłaścicieli tej klatki nie chrapie albo nie monologuje w nocy. Zaglądamy do dzbana, czy też dają słodką wodę do umywania, czy słoną morską, w której żadne mydło się nie rozpuści. Ostatnia okoliczność doprowadziłaby nas do chęci skoczenia w morze i powrotu wpław do ziemi niebacznie porzuconej, gdyby nie dzwon, co na kolacyę woła. Dzwon ten — dzięki kompanii i niebiosom — będzie 5 razy na dzień dzwonił, a każda uczta potrwa godzinę, bo właściciele parowca obchodzą się hojnie ze swoimi pasażerami. Jeszcze milej łechce nasze serce i godzi nas z losem fakt, iż otrzymaliśmy siedzenie wprost „piękności“ okrętowej. Każdy okręt ma „piękność“ — nazywamy nią najurodziwszą pannę lub panią (najlepiej jeżeli wdowa albo rozwódka) na statku. Od chwili wstąpienia na pokład i do salonu staje się ona jego królową. Naprzeciw tej monarchini traf szczęśliwy nas umieścił. Przyjmujemy to siedzenie bez szemrania, chociaż twardsze od łóżka w naszej kajucie, i posadzono nas u szarego końca, daleko od kapitana, który jako ojciec rodziny kraje indyka przy wyższym końcu, szafując białem mięsem pomiędzy najbliższych, a nam przysyłając udo. Ale ten niesmaczny kąsek opromienia uśmiech i spojrzenie, co strzela ze źrenic królowej *vis-à-vis*. Pięć razy na dzień tenże los błogi nas spotka, łagodząc nawet to łaskotliwe uczucie w krtani, które daje się uczuć, gdy w połowie obiadu wypada słuchać stękania osoby, co w swojej kajucie, tuż po za cienką ścianą, oddaje bóstwom morza podatek nowicyuszów. Królowa, wojażerka dawnej daty, nie choruje nigdy. Owszem, jej żywotność i apetyt mężnieją na morzu. I nas kilku nie choruje. Lecz królowa nie posiada „nóg morskich;“ jej małe stopki, wciśnięte w jeszcze mniejsze obuwie i na wysokich zbudowane obcasach, wymykają się z pod niej, gdy zwykle poważnemu okrętowi przyjdzie do głowy zatoczyć się figlarnie. Więc szczupły zastęp „morzotrwałych“ panów zdradnie już rozmyśla, jak oszukiwać siebie nawzajem, jak ubiegać rywalom ramię królowej, gdy takowa podpory szukać będzie, jak lawirować dokoła tej wdzięcznej fregaty, aby zawsze w czas otoczyć ją opiekuńczem skrzydłem. Na morzu wiele wolno — etykietę Neptuna spisał filutny Kupid, więc królowa gniewać się nie będzie.

Dnie mijają na ucztach, na służbie monarchini i długich snach w kajucie. Morze coraz gładsze, coraz cieplej wieje od południa. Całe towarzystwo przebyło egzamin dojrzałości. Okupiwszy się Neptunowi dwudniowem kwękaniem, roją się już zdrowi i weseli na pokładzie, mnożąc dwór monarchini. Nawet siwobrody kapitan i rudy, łysy angielski „baronet,“ co przez całe życie opływa kulę ziemską różnemi szlakami, zaprzęgli się do jej rydwanu, ku złośliwym uwagom młodszych żeglarzy. Ten baronet jest typem pewnej klasy turystów. Był wszędzie, widział białego cara nad Newą, policzył nieliczne włosy na brodzie Mikady, zajrzał oko w oko Maharaji na Borneo i kochał się we wszystkich śpiewaczkach i aktorkach, tłukących się z kraju do kraju na parowcach, kwoli dawaniu przedstawień. Gani Szwecyą, bo w niej wino drogie, nienawidzi gauchów Paragwaju, albowiem jeden z tych pozornie naiwnych pastuchów orżnął go przy sprzedaży muła, a ma najgorsze wyobrażenie o przyszłości wschodnich narodów, gdyż fatalne posiadają hany i karawanseraje. Jest to chodząca encyklopedya cen i komfortów parowców i hotelów na wszystkich strefach. Narody, oraz ich stopień cywilizacyi, mierzy on miarą miękkich materaców i czystych ręczników. Może ma słuszność. Ale nadto niczego się nie nauczył w dwudziestoletniej, nieprzerwanej podróży. Co umie, wyładowuje z łysej głowy kolejno dla bawienia królowej parowca. On jej oddał i berło nad swojem sercem — na tydzień, albowiem „piękność“ opuści statek w pierwszym porcie, on zaś przebędzie przesmyk Panamy i popłynie do Chili. Gdy ona na pokładzie, on zawsze przy niej; podczas jej nieobecności odgrywa on rolę Macedończyka. Jak Aleksander narzeka, że nie pozostaje mu już żaden świat do zawojowania, chyba porzuci morze na długo i śladem Stanley'a pójdzie do jezior Livingstone'a. O braku środków nie ma mowy. Wszakże posiada w Wallii kamieniołom łupku dachowego, istną Golkondę cennego minerału.

W trzecim dniu żeglugi pokazuje się, że królowa posiada szaperona — jest to mąż, jak mówią, podtatusiały Senhor hiszpańskiego pochodzenia, zamożny kupiec, w Kingston'ie, na Jamajce. Leżał on nieruchomy na krzyżach w kajucie, patrząc stale w sufit (najlepsza prezerwatywa przeciw chorobie morskiej), póki senne morze i cisza dokoła rodzinnych Antyllów nie uzdrowiły go i nie wezwały na pokład. Jaki też popłoch wywołało to siwe, blade zjawisko pomiędzy dworem monarchini... lecz nie na długo. Senhor albo nie jest zazdrosnym, albo ufa ślepo w rozwagę senhority. Usiada potulnie w kącie, pod baldachimem rozpiętym na statku i wielkiemi, sennemi oczyma obserwuje wyspy, co jedna po drugiej przesuwają się w dali i wiecznie się uśmiecha.

Biedny potomku Kuby! potulność twoja rzuca cię na pastwę jedynego utrapienia okrętu, naszego doktora okrętowego, w złotych okula-

rach i z nosem, którego sam właściciel do tego stopnia się wstydzi, iż go nie śmie z bliska pokazać senhorycie. To upośledzone na fizyognomii indywiduum mści się na rodzaju ludzkim swoją biografią, którą powtarzał każdemu pasażerowi, trzymając ofiarę za guzik. Zwykle wydostajemy się z jego szponów przy epizodzie o szczęśliwym zabiegu, co obdarzył tego okrętowego Eskulapa dyplomem doktorskim, i dzięki ślamazarności jakiegoś nędznego uniwersytetu w najgłuchszym stanie amerykańskim, pozwolił teologowi kupić godność i przywileje lekarza. Złośliwi szepcą, że kompania trzyma go umyślnie, celem odstraszenia pasażerów od objawów chorobliwych. Gdyby dobry lekarz był na okręcie, a zwłaszcza przystojny, podróżni płci pięknej wciążby chorowali i zażywali pigułki, dostarczane bezpłatnie z apteczki okrętowej. Takie zażywanie zrobiłoby grubą różnicę w budżecie okrętu *Colon*. Oprócz spowiadania się ze swojej biografii, posiada nasz doktor inny narów — lubi dysputy, w każdej kwestyi i po każdej stronie, i to tak zawzięcie, że jeżeli przegadał, przekonał i zmusił do kapitulacyi swego przeciwnika, natychmiast zmienia front i staje w obronie tego właśnie twierdzenia, które zbijał przed chwilą. Plaga ta wzięła w swoje posiadanie *senhora*, od pierwszej godziny po zjawieniu się milczącego Hiszpana na pokładzie, za co inni podróżni odmówili nazajutrz dziękczynną modlitwę. Była to niedziela, a salon okrętowy zmieniono na godzinę w kaplicę. Co senhor myślał przez owe trzy dni feralne, gdy mu lekarz od rana do zmroku bębnił w uszy, pozostanie na zawsze tajemnicą, ale zachowywał się przytem z niemą powagą pomnika. Z podobną nieruchomością rysów przysłuchiwał się paplaninie i śmiechom swojej kreolskiej żony, kokietującej ze swoim dworem. (C. d. n.)

PRZED LATY.

przez

MARYANA DUBIECKIEGO.

(*Dokończenie*).

Nauczycielom zalecona była względność najwyższa, łagodność i pełne uprzejmości obejście się z wychowanicami zakładu. Na wszystkie kwestye, tak uczących się jak niemniej dozorujących, odpowiadać powinien nauczyciel zrozumiale i dokładnie. „Gdyby zaś kwestya wypadła, do którejby nauczyciel nie był przygotowany, to — radzi ustawa — ma on rzetelnie wyznać, iż musi się wprzód na odpowiedź przygotować, przez poradzenie się w tym przedmiocie dzieł najlepszych lub przez zrobienie u siebie uprzednio doświadczenia, jeżeli idzie o jaki przedmiot fizyczny. Niewiadomość, czy też zapomnienie, nie jest dla nikogo hańbą; wstydliwą zaś byłoby dla nauczyciela rzeczą, gdyby o tem chciał decydować, czego sam jasno nie pojmuje... Takowe owszem postępowanie z młodzieżą najlepszą jest dla niej nauką; bo się przekonywa, że we wszystkich trudniejszych przedmiotach trzeba się wprzód dobrze nad zadaną kwestyą namyśleć, onę zgruntować i wiedzieć, co w tej mierze inni odkryli lub przepisali"... Podobnych rad i uwag, Czacki osobiście, Kołłątaj zaś drogą przepisów, nie szczędzono nauczycielkom. Każda z nich, gdy wyróżniała się wśród korporacyi kłótliwem usposobieniem, kiedy lubiła plotki i intrygi, chociażby była obdarzoną od natury olbrzymiemi zdolnościami, chociażby celowała nauką, wnet traci posadę w szkole kobiecej. Surowo wzbronionem im było zbywanie pytań uczących się lekko lub milczeniem. Nieświadoma rzeczy nauczycielka powinna była odwoływać się do właściwego nauczyciela lub do dobrych dzieł. Tak poważnie wreszcie władza edukacyjna zapatrywała się na postępowanie nauczycielek z dziewczątkami, iż obiecywała wydać oddzielną księgę, w której owe obowiązki wyłożonemi być miały; dla tymczasowego zaś użytku zalecała guwernantkom wykładającym i dozorującym w seminaryum książkę ks. Piramowicza: „Rada dla nauczycielów szkół parafialnych"...

Seminaryum nauczycielek miało być zakładem zamkniętym, do któregoby wstępu obcym wzbraniano. Na czele zarządu szkoły stała „wielka mistrzyni"; posada ta miała być honorową, rodzaj protektorki zakładu, któremu ona raczej królowała, ale nim nie rządziła; rzeczywiste zaś rządy, zwierzchnictwo i kierunek tak moralny jak i naukowy spoczywały w ręku wice mistrzyni, rzeczywistej przełożonej zakładu; jej podlegały guwernantki, tudzież dość liczny zastęp wykładających. Liczba wychowanic składać się miała z pięćdziesięciu dziewczynek, będących na koszcie trzech prowincyi, którym one miały swą pracą odpłacać nakłady na nich łożone. Każdy powiat oddzielnie przedstawiał kandydatki do seminaryum; i stypendystki, po ukończeniu kursów, pięć lat musiałyby pracować we właściwych powiatach. Oprócz stypendystek kraju mogło się jeszcze znajdować dziesięć stypendystek na koszcie pojedyńczych osób, tak, iż ogólna liczba kształcących się w rzeczonym zakładzie nie powinna była przenosić liczby sześćdziesięciu, zapewne ze względów tak pedagogicznych jak niemniej finansowych. Wielki napływ uczących się utrudniałby może wykład i nie dawałby możności rozciągnięcia nad wszystkiemi prawdziwie czujnej, troskliwej opieki...

Fundusze na seminaryum dała głównie gubernia wołyńska, zasilała je gubernia kijowska, a o Podolu, by spieszyło w pierwszej chwili przyłożyć dłoń do owej budowy, mającej na celu dobro powszechne, milczą źródła współczesne; zamilcza o niem i Czacki w swej mowie, mianej podczas nader uroczystej inauguracyi „Szkoły wołyńskiej", w Krzemieńcu, d. 1. października 1805 roku.

Przy seminaryum nauczycielek zakładano pensyę „wzorową" na trzydzieści dziewcząt, tworząc w ten sposób jeszcze jeden zakład dla kobiet zupełnie oddzielny od seminaryum. Uznawać wszakże miał zwierzchnictwo „wielkiej mistrzyni", którą kreowano niejako na rektora w owych prowincyach wszystkich pensyi kobiecych prywatnych, co za jej jedynie pozwoleniem, i po uprzedniem przez nią rozpatrzeniu programatów wykładu, mogły stawać w okolicach trzech prowincyi, podległych jej naukowemu kierownictwu. Prywatne pensye zniewolone były przytem do zachowywania koniecznego warunku, przepisanego przez władzę edukacyjną, a mianowicie, żeby ich tam nie zakładano, gdzie nie ma szkół powiatowych, które, wedle zamiarów ustawodawcy, powinny były baczne mieć oko na wszystkie zakłady, istniejące w obrębie powiatu, bez względu, czy są publicznemi lub nie, dla chłopców, czy też dla dziewcząt. Pensye prywatne, nie chcące się poddać tym przepisom, nie miały prawa dłużej istnieć; władza edukacyjna nakazywała je natychmiast zwijać.

Pensya prywatna krzemieniecka — podczas kiedy seminaryum nauczycielek zaledwie się tworzyło — szybko wzrosła, darząc społeczeństwo znaczną liczbą niewiast prawdziwie wykształconych. Plany wykładu na owej pensyi — wedle wzoru której powstawać miały inne podobne zakłady — istniały z małemi zmianami też same, co obowiązywały seminaryum nauczycielek, ale karność, gorliwość o rozwój strony moralnej i umysłowej wcale mniejszemi nie były...

Kiedy po sześciu, siedmiu lub więcej latach studyów pracowitych nadchodził wreszcie dzień, gdy seminaryum miało oddać na usługi społeczeństwu jego kosztem wykształcone przyszłe mistrzynie młodych pokoleń, chwilę tę święcono stosowną uroczystością, przez którą chciano pokazać, tak uczącym się w zakładzie, jak i wychodzącym już ze świadectwem dojrzałości a również i powszechności krajowej, jak wielkiemi i świętemi są obowiązki dziewic, mających kształcić przyszłe matki i obywatelki kraju, jak społeczeństwo poważnie zapatrywać się powinno na ów zawód trudu i goryczy.

Dziewica opuszczająca zakład obowiązywała się uroczyście, wobec licznego zgromadzenia przedniejszych społeczeństwa, których Czacki wielekroć natarczywie, prawie gwałtem, ściągał na doroczne szkolne popisy, ślubowała niejako przed obliczem całego kraju, że za otrzymaną naukę od społeczeństwa rozszerzaniem tejże nauki, tegoż światła płacić będzie...

Podobne zobowiązania zalecał Kołłątaj dla męzkiej młodzieży, kończącej szkołę krzemieniecką. Wspaniały i rozczulający był to obraz!...

Opieka i ziarna wiedzy, rzucone na niwę serc młodych pokoleń, stać się miały posiewem, co przynosił nieskończone zbiory dla potomnych... Ile dziewic opuszczało corocznie seminaryum nauczycielek, tyle kraj powinien się był spodziewać opiekunek kształcącej się młodzieży; ilu uczniów żegnało mury krzemienieckiej szkoły, tylu miało powstać rozkrzewicieli światła, orędowników dziatwy łaknącej nauki.

Dzieła rąk ludzkich kruchemi są wszakże.

Prace wielkich obywateli, acz bez śladu nie przeszły, acz i dziś jeszcze odblask owej pochodni wiedzy, którą dłoń ich niecila, świeci odległą łuną potomnym, przecież zbyt prędko one runęły, zbyt rychło społeczeństwo, dla którego pracowali, zapomniało o ich usiłowaniach...

Siedm lat nie upłynęło od owej, pamiętnej, październikowej niedzieli, gdy w gronie patrycyuszów tamtejszych prowincyi witał Czacki wschodzącą nad Wołyniem jutrzenkę nauki, a już mąż ten wielki legł w grobie, patrząc jeszcze za życia na zniewagi, któremi własna społeczność cisnęła mu pod stopy. To, co o sobie rzekł Kołłątaj, w poufnym liście do przyjaciela, jest niejako przepowiednią przyszłych losów Czackiego. „...Tak się jednak podobało opatrzności — mówi pustelnik ze Stołpca — aby nic nie pozostało, około czego pracowałem niegdyś... Rozproszeni świadkowie pracy wkrótce przeminą, a inna postać rzeczy odda zapomnieniu tak, jak teraz wskazała na urągowisko prace moje"...

I zaiste zapomnienie zawcześnie nadeszło!

W gruzach przeszłości zagrzebane imiona przekształcicieli wychowania publicznego w pierwszych latach naszego stulecia prędko zapomniane zostały. Wkrótce może nadejdzie chwila gdy niezrozumiałemi nawet staną się dla nas oto następujące wyrazy nieudatnego rymu, wyryte na

kamieniu, który w Poryckn chroni od zagłady część popiołów wielkiego męża...

„Co wzniosło kraju oświatę i chwałę,
Co w sercach ziomków i u obcych żyje,
Tu się w tym skromnym pomniku wspaniałe
Serce Czackiego Tadeusza kryje"...

Z DZIEDZINY NAUK PRZYRODNICZYCH.

Mars.

Z pomiędzy wszystkich planet, około słońca krążących, *Mars*, najbliższy nasz sąsiad, po stronie zewnętrznej od słońca rachując, na szczególną zasługuje uwagę. A to głównie z powodu, iż co do warunków klimatycznych, atmosferycznych i wielu innych, do naszej ziemi najbardziej jest zbliżony.

Gdybyśmy się mogli przenieść na chwilę na powierzchnię tego planety, to uderzyłoby nas od razu wielkie podobieństwo widoków. Ujrzelibyśmy morza, których fale niszczą bez przerwy brzegi, wiatry, burze, góry pokryte u szczytów śniegami, słowem *tout comme chez nous*. Pomiędzy naszą strefą a Australią nie ma mniejszej różnicy, niż pomiędzy ziemią a Marsem.

Kilkanaście lat ostatnich przyczyniło się w sposób znakomity do zbadania tego planety. Dziś z pewnością, na pewnych podstawach rozprawiać można o stosunkach klimatycznych, geograficznych, meteorologicznych i tp. na Marsie. A ponieważ stosunki te są tak niezmiernie podobne do naszych stosunków ziemskich, więc badania te były jedynym z najsilniejszych bodźców do roztrząsania zamieszkalności światów pozaziemskich. Jeżeli na Marsie warunki tak podobne do naszych, to dla czegóżby w tych warunkach nie mogły się wytworzyć istoty do naszych podobne? Dla czego jego powierzchnia nie miałaby być w miejscach urodzajnych pokrytą lasami i trawami, zapełnionymi milionami istot żyjących?

Z powodu tych szczególnych warunków, w których się Mars znajduje, był on w ostatnich latach przedmiotem szczególnych badań, które doprowadziły do niezmiernie ważnych rezultatów, a z którymi mamy zamiar zaznajomić naszych czytelników.

Mars, widziany gołem okiem, przedstawia się jako gwiazda pierwszej wielkości, promieniejąca światłem różowawem. Droga jego naokoło słońca jest znacznie dłuższa, niż droga ziemi, więc potrzebuje on zamiast 365, 687 dni; i to jest długość jego roku. Po tej drodze pędzi Mars z szybkością 23850 metrów na sekundę. Objętość jego jest mniejsza niż objętość ziemi, gdyż średnica Marsa wynosi zaledwie połowę średnicy ziemskiej.

Zaraz po odkryciu lunety astronomicznej Galileusz zauważył zmiany na Marsie. Przekonano się, że ma on swój nów, pierwszą kwadrę, pełnię i kwadrę ostatnią, że więc nie świeci własnem światłem lecz pożyczanem od słońca.

Niedługo potem zaczęto postrzegać plamy na tym planecie i zauważono, iż te plamy zmieniają położenie, że się więc Mars około swej osi obraca, a ostatnie obliczenia wykazały, iż obrót ten odbywa się w 24 godzinach 37 minutach i 23 sekundach. Jestto długość dnia na naszym sąsiedzie, widzimy więc, że i pod tym względem jest on do ziemi naszej niezmiernie podobnym. Ponieważ zaś równik jest nachylony do ekliptyki o 28°42', o mało co więcej, niż nasza ziemia, więc zmiany pór roku na Marsie o nie wiele są wybitniejsze, niż u nas.

Dotąd więc znajdowaliśmy ciągłe podobieństwo między stosunkami na Marsie i na ziemi. Długość dnia i nocy, różnica ich długości w różnych porach roku, długie dnie i długie noce w okolicach podbiegunowych, wszystko to są fenomena zupełnie prawie takie, jak u nas. Lecz natomiast długość pór roku jest inna, z powodu, iż rok na Marsie jest znacznie dłuższy. Bieguny jego pokryte są śniegami i lodami, które pod wpływem promieni słonecznych ustępują, lub też w czasie większej od słońca odległości coraz się bardziej nagromadzają.

Mars otoczony jest atmosferą wielce do naszej podobną. Dowodem jej istnienia są przedewszystkiem chmury, które się po jego tarczy przesuwają, gdyż jeżeli są chmury, to opierać się one muszą na jakiejś atmosferze, muszą z niej brać swój początek. Zresztą są i inne na to dowody. Patrząc przez dobrą lunetę, widzimy na powierzchni Marsa stałe plamy, które odbywają swój obrót razem z planetą. Są to zarysy lądów i mórz. Otóż gdy te plamy znajdują się pośrodku tarczy, to ich zarysy są wyraźne, lecz gdy zejdą do kraju to wydają się zamglonemi. Pochodzi to ztąd, że widzimy je wtedy przez grubszą warstwę atmosfery marsowej.

Badając atmosferę Marsa za pomocą spektroskopu, przekonano się, że zawiera ona wodę, że więc chmury w jego atmosferze składają się z pęcherzyków wodnych, a śniegi u biegunów są takie jak u nas. Plamy zielone na jego tarczy są morzami i dwa pierwiastki najbardziej rozpowszechnione na ziemi, tlen i wodór, są i tam przeważającymi.

Istnienie mórz i kontynentów dowodzi, że na planecie tym odbywały się i odbywają zmiany geologiczne takie, jak te, które powierzchnię naszej ziemi wyrzeźbiły.

Ponieważ warunki fizyczne na Marsie są tak do naszych podobne, więc trzeba przypuścić, że istoty organiczne, które są wytworem tych warunków, są także do istot ziemię naszą zamieszkujących podobne. Objawy tego życia nie powinny się bardzo różnić od objawów tego rodzaju na naszym globie.

Według obliczeń gęstość materyi, składających Marsa jest mniejszą, niż gęstość naszej ziemi i to w stosunku 71 : 100. Przytem siła ciążenia jest tam znacznie mniejszą. Ciało ważące na ziemi 100 funtów, tam waży tylko 37, a więc prawie trzy razy mniej. Człowiek ważący 140, ważyłby tam tylko 52, więc natężenie mięśni wystarczające na ziemi do podskoczenia o kilka stóp w górę, tam wystarczyłoby do wskoczenia na szczyty drzew albo na dachy domów.

Z powodu tej małej siły przyciągania istoty żyjące są prawdopodobnie wyższe niż nasze, gdyż nie wielkość planety, lecz siła ciążenia reguluje wzrost istot żyjących. Dla tego na ziemi człowiek jest tak niskim, bo wyższemu znacznie trudniej byłoby chodzić i równowaga byłaby mniej stałą. Rozumując tak, przychodzimy do wniosku, że rośliny i zwierzęta na Marsie są zbudowane na znacznie większą, niż u nas skalę. Ponieważ siła ciążenia mniej tam przytwierdza istoty żyjące do powierzchni, więc również się przypuszcza, że więcej tam jest niż u nas istot obdarzonych zdolnością wznoszenia się w powietrze.

Na ziemi ciało padające przebiega w pierwszej sekundzie 4 metry i 90 centymetrów. Na Marsie ciało to, wskutek zmniejszonej siły ciążenia, przebiega tylko 1 metr i 87 centymetrów. Więc gdy na ziemi wszelkie próby podnoszenia się za pomocą skrzydeł nie udają się, gdyż uderzeniem skrzydeł w powietrze nie możemy wznieść tak wysoko, o ile upadamy, tymczasem na Marsie rzecz ta jest znacznie łatwiejszą, bo przy jednakowej prawie atmosferze mamy trzy razy mniejszą siłę ciążenia.

Jednak robiąc takie wnioski o organizmach na powierzchni Marsa nie mamy wcale na myśli, że mieszkańcy tej planety są do naszych co do kształtów podobni. Jest to rzecz, która nie może być a priori rozstrzygniętą i która zależy od tego, w jaki sposób wyższe istoty z niższych rozwinęły się i w jakim kierunku szedł ten rozwój.

Życie jest związane z warunkami fizycznemi, jest rzec można wypadkewą tych warunków Otóż przypatrzmy się, jakie są różnice między warunkami naszymi a warunkami na Marsie, modyfikującymi tam życie organiczne.

Ilość ciepła i światła, które Mars od słońca odbiera, jest prawie taka sama jak na ziemi, pod tym więc względem nie ma wielkiej różnicy. Lecz natomiast długość pór roku jest tam znacznie większą; wpływać to musi najbardziej na świat roślinny, którego trwanie jest tak z trwaniem pór roku związane. Każda roślina potrzebuje pewnej ilości czasu, ciepła i światła, żeby się rozwinąć, zakwitnąć i wydać owoc. Otóż jeślibyśmy na ziemi przedłużyli pory roku, to spowodziłoby to ogromne zniszczenie między światem roślinnym. Wnioskujemy ztąd, że na Marsie rośliny muszą być inaczej, niż u nas zorganizowane.

Lecz największy wpływ wywiera siła ciążenia. Żeby go sobie jasno przedstawić, przypuśćmy, że ta siła zmniejszyła się trzy razy na powierzchni naszej ziemi. Uczulibyśmy to w tej chwili na sobie i na otaczających przedmiotach. Stalibyśmy się lżejszymi i zdolniejszymi do ruchów najbardziej karkołomnych. Powietrze by się rozrzedziło i mielibyśmy to uczucie, którego doznaje aeronauta w wyższych sferach atmosfery. Rośliny, które pod wpływem ciążenia przygniatają się do ziemi, a pod wpływem słońca podnoszą się do góry i rosną, musiałyby dorastać do znacznie większej wysokości niż obecnie, gdyż pierwszy czynnik przygniatający byłby znacznie zmniejszony.

Przypatrzmy się teraz, jak się mieszkańcom Marsa przedstawia niebo gwiaździste. Różni się ono oczywiście mało od naszego i jedne tylko planety inaczej wyglądają. Jowisz świeci tam wspaniale, i wydaje się półtora raza większym niż u nas, a jego księżyce są nawet gołem okiem widoczne. Saturn, Uran i Neptun są to także znacznie pokaźniejsze i ten ostatni planeta mógł tam być przed Leverrierem odkryty. Dwa księżyce, bardzo małe, które parę miesięcy temu zostały odkryte, oświecają ciemne noce, a ziemia nasza gra rolę gwiazdy wieczornej i gwiazdy zarannej.

Oto nareszcie zestawienie wszystkich odrębności najbliższego naszego sąsiada w świecie planetarnym:

Długość roku: Jeden rok i 322 dni.

Długość dnia: 24 godzin, 39 minut i 35 sekund.

Ilość dni marsowych w roku: 668.

Pory roku: Więcej wybitne niż nasze i dwa razy dłuższe.

Klimaty: Trzy pasy geograf. jak u nas.

Atmosfera: Jak u nas.
Średnia temperatura: Mało się różni od naszej.
Gęstość: Mniejsza niż ziemi = 0,69.
Ciążenie: Prawie 3 razy mniejsze.
Rozmiary planety: Mniejsze: promień Marsa = 0,54 promienia ziemi.
Geografia: Lądy przecięte morzami; więcej ziem niż mórz.
Meteorologia: Analogiczna do naszej.
Życie: Mało się od naszego różniące.

HEKTOR SERVADAC

PRZYGODY W PODRÓŻY

PO ŚWIATACH SŁONECZNYCH

przez

JULIUSZA VERNE'A.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

(*Ciąg dalszy*).

ROZDZIAŁ VIII.

Gdzie jest mowa o Wenerze i Merkurym, zagrażającym, że potrącą o ziemię.

Wkrótce znowu ukazało się słońce i całe światło gwiazd znikło przed jego wytężoną promienistością. Nie było możności robić dalszych spostrzeżeń. Należało odłożyć je do przyszłych nocy, jeżeli stan nieba pozwoli.

Co do kręgu, którego światło prześliznęło się przez pokład chmur, to kapitan Servadac naprożno szukał jego śladów. Znikł on, czy to wskutek oddalenia się, czy też zwrotu w bezładnym biegu.

Pogoda była przepyszna. Wiatr całkiem prawie ustał, przerzuciwszy się na stary zachód. Słońce wznosiło się codziennie na swoim nowym horyzoncie i zachodziło na przeciwległym ze wszelką dokładnością. Dnie i noce miewały równo po sześć godzin, — zkąd ten wynik, że słońce wcale nie oddalało się od nowego równika, który przechodził przez wyspę Gurbi.

Jednocześnie temperatura wzrastała ciągle. Kapitan Servadac po kilka razy na dzień spoglądał na termometr, zawieszony w jego pokoju, i 15 lutego przekonał się, że narzędzie to wskazywało w cieniu pięćdziesiąt stopni stustopniowych.

Rozumie się, że ponieważ gurbi nie podniosło się jeszcze ze zwalisk, kapitan Servadac i Ben-Zuf urządzili jak mogli najwygodniej główny pokój w posterunku. Mury te, po należytem ich osłonięciu od potopowych deszczów, zabezpieczały również od gorąca. Skwar poczynał być nieznośnym, tembardziej, że żadna chmura nie łagodziła promieni słonecznych. Nigdy słońce w Senegalu ani w podrównikowych krajach Afryki nie wytwarzało podobnego skwaru. Gdyby temperatura ta dłużej potrwała, spaliłaby się niezawodnie cała roślinność na wyspie.

Wierny swym zasadom, Ben-Zuf nie chciał okazywać zdumienia z powodu tej anormalnej temperatury; ale pot, spływający po nim, protestował przeciw temu. Zresztą nie chciał on, pomimo zaleceń kapitana, zaniechać posterunku na szczycie skały, Tam, podczas gdy wpatrywał się w morze Śródziemne, spokojne jak jezioro, ale ciągle puste, wypiekał się najsumienniej. Można było przypuszczać, że skórę ma podwójną a czaszkę blindowaną, mogąc tak bezkarnie znosić prostopadłe promienie południowego słońca.

Pewnego dnia kapitan, wpatrując się w niego, zrobił taką uwagę:

— A! to chyba urodziłeś się w Gabon.

— Nie, panie kapitanie, na Montmartre, ale to wszystko jedno!

Od chwili jak dzielny Ben-Zuf stwierdził, że w okolicach międzyzwrotnikowych było tak samo gorąco, jak na jego faworytalnym wzgórku, nie było o co spierać się.

Temperatura ta, ultra-kanikularna, musiała koniecznie oddziałać na roślinność wyspy Gurbi. To też i natura doznała skutków tej modyfikacyi klimatycznej. W kilka dni soki rozniosły życie po najskrajniejszych gałęziach drzew, ukazały się pączki, rozwinęły liście, rozkwitły kwiaty, wytworzyły się owoce. Tak samo było ze zbożem. Proso rosło w oczach, że tak powiemy, a łąki pokryły się gęstą trawą. Była jednocześnie pora kośby, żniwa i zbioru owoców. Lato i jesień złączyły się w jednę porę roku.

Dlaczego kapitan Servadac nie był bieglejszym w kosmografii! Powiedziałby sobie:

—Jeżeli pochyłość osi ziemskiej zmieniła się, i jeżeli, jak wszystko zdaje się wskazywać, oś ta tworzy kąt prosty z ekliptyką, więc wszystko pójdzie teraz tak jak na Jowiszu. Nie będzie pór roku na kuli ziemskiej, ale strefy niezmienne, dla których zima, wiosna, lato i jesień trwają wiecznie.

I nie zaniedbałby dodać:

— Ale do wszystkich piorunów! Co nam przyniesie ta zmiana?

Przyspieszona ta pora roku zakłopotała kapitana i jego ordynansa. Widocznem było, że zabraknie rąk na tyle pracy na raz. Gdyby nawet zarekwirowano całą ludność wyspy, nie zdołanoby dać sobie rady. Nadzwyczajne gorąco nie dozwoliłoby oddać się ciągłej pracy. W każdym razie niebezpieczeństwo nie było jeszcze nieuniknionem. Zapasy w gurbi znajdowały się w obfitości, a przytem teraz, gdy morze się uspokoiło i pogoda była prześliczna, można było spodziewać się, że jaki okręt ukaże się przed wyspą. Ta część morza Śródziemnego bardzo jest uczęszczana bądź przez statki rządowe, pełniące służbę na wybrzeżach, bądź przez transportowe wszystkich narodów, miewające stosunki z najmniejszymi nadbrzeżnemi punktami.

Taki tryb rozumowania był słuszny, ale cóż kiedy czy to z tej przyczyny, czy z owej, dość że żaden statek nie ukazywał się na morzu i Ben-Zuf bezpotrzebnie upiekłby się na szczycie spopielonej skały, gdyby nie był tam osłonięty rodzajem parasola.

Przez ten czas kapitan Servadac próbował, ale napróżno, przypomnieć sobie szkolne studya. Oddawał się bezustannym wyrachowaniom aby wyjaśnić tę nową sytuacyę kuli ziemskiej; ale nie bardzo mu się to udawało. A jednak powinienby był być naprowadzonym na myśl, że jeżeli ruch rotacyjny ziemi na jej osi zmodyfikował się, to musiał również zmodyfikować się jej ruch przenośny dokoła słońca, i że zatem długość roku nie powinna była pozostawać tąż samą, lecz albo wzrosnąć, albo skrócić się.

Ziemia w samej rzeczy przybliżała się do promienistej gwiazdy. Orbita jej widocznie zeszła z miejsca, a to zgadzało się nie tylko ze stopniowym wzrostem temperatury, ale nowe spostrzeżenia powinny były pozwolić kapitanowi Servadac sprawdzić to zbliżenie, przyciągające glob do jego atrakcyjnego centru.

W samej rzeczy krąg słońca ukazywał się wtedy w średnicy dwa razy większej, aniżeli przedstawiał się gołemu oku przed tymi wypadkami. Spostrzegacze umieszczeni na Wenerze, to jest w średniej odległości dwudziestu pięciu milionów mil, widzieliby go takim, jakim przedstawiał się teraz w rozmiarach zwiększonych. A zatem z uwagi tej należało wyprowadzić wynik, że ziemia nie musiała być oddaloną od słońca dalej jak na dwadzieścia pięć milionów mil, zamiast trzydziestu ośmiu. Pozostawało przekonać się czy odległość ta nie zmniejsza się jeszcze; w tym zaś razie należało obawiać się, by wskutek zerwania się równowagi, kula ziemska niezostała ostatecznie wciągniętą na powierzchnię słońca. Byłoby to kompletnem jej zniszczeniem.

Jeżeli dnie, bardzo piękne podówczas, dawały wszelką łatwość obserwowania nieba, to i noce, nie mniej piękne, oddawały w rozporządzenie kapitana wspaniały ogół świata gwiazdzistego. Gwiazdy i planety były tu jakby głoskami olbrzymiego alfabetu; kapitan wściekał się, że mógł to zaledwie sylabizować. Gwiazdy wprawdzie nie przedstawiłyby żadnej zmiany jego oczom ani w swych rozmiarach, ani w stosunkowej odległości; wiadomo bowiem, że słońce, posuwające się ku konstelacyi Herkulesa z szybkością sześćdziesięciu milionów mil rocznie, nie przedstawiło jeszcze dającej się ująć zmiany pozycyi, tak wielką jest odległość tej gwiazdy. Toż samo dzieje się z Arkturem, który w przestrzeni gwiazdzistej porusza się z szybkością dwudziestu dwóch mil na sekundę, to jest trzy razy prędzej aniżeli ziemia.

Ale jeżeli gwiazdy niczego nauczyć nie mogły, nie tak samo rzecz się miała z planetami, przynajmniej z temi, których orbita zakreśla się wewnętrz orbity ziemi.

Dwie planety znajdują się w tych warunkach: Wenus i Merkury. Pierwsza grawituje w odległości dwudziestu siedmiu milionów mil od słońca, druga w odległości piętnastu milionów. Orbita Wenery obejmuje zatem orbitę Merkurego, orbita zaś ziemi obie powyższe. Owoż, po długich spostrzeżeniach i po głębokim namyśle, kapitan Servadac zrobił uwagę, że ilość ciepła i światła, obecnie przyjmowana przez ziemię, dorównywała prawie ilości tej, którą Wenus otrzymuje od słońca, to jest dwa razy większej od tej, jaką jej przesyłało słońce przed katastrofą. Więc jeżeli wyprowadził z tego, wniosek, że ziemia musiała znacznie przybliżyć się do promienistej gwiazdy, pewniejszym byłby tego gdyby znowu obserwował tę pyszną Wenus, którą zachwycają się najobojętniejsi, gdy wieczorem, lub rano, wyzwala się ze słonecznych promieni.

Lucifer, Hesper jak ją nazywano w starożytności, zorza wieczorna, gwiazda zaranna — żadna gwiazda nie ma tylu nazw, jak to światło nocne — słowem Wenus, przedstawiała się oczom kapitana Servadac w formie kręgu stosunkowo ogromnego. Był to jakby mały księżyc i gołem okiem doskonale można było odróżniać jego fazy. To pełna, to w ćwierci, zawsze była dokładnie widzialną. Zazębienia jej przekonywały, że promienie słoneczne, odbijając od jej atmosfery, przenikały w okolice, w których powinna była już zajść. Było to dowodem, że Wenus posiada atmosferę, ponieważ promienie odbijały od powierzchni jej kręgu. Pewne punkta jasne oznaczały góry, ktorych wysokość słusznie Schröter

podawał na dziesięć razy większą aniżeli Mont Blanc, to jest na sto czterdziestą czwartą część promienia planety. *)

Owoż kapitan Servadac w owej epoce czuł się w prawie twierdzenia, że Wenus była nie dalej jak w odległości dwóch milionów mil, i powiedział to Ben-Zufowi.

— No i cóż panie kapitanie, odrzekł ordynans, to jeszcze bardzo pięknie być oddalonym na dwa miliony mil!

— Znaczyłoby to coś dla dwóch armii wojujących odrzekł kapitan Servadac, ale dla dwóch planet jest niczem!

— Cóż może stać się?

— Do licha! możemy pospadać na Wenus!

— Eh, eh!.. a czy jest tam powietrze, panie kapitanie?

— Jest!

— I woda?

— Rozumie się.

— Dobrze! zobaczymy Wenus!

— Ale uderzenie będzie straszliwe, gdyż zdaje się, że teraz oba ciała pędzą w kierunku przeciwnym, a ponieważ masy ich są prawie równe, więc uderzenie dla obu będzie okropne.

— Dwa pociągi kolejowe co? dwa pociągi spotykające się! odpowiedział Ben-Zuf spokojnie, co kapitana znowu okrutnie zirytowało.

— Tak jest, dwa pociągi, bydlę! zawołał Hektor Servadac, ale dwa pociągi pędzone tysiąc razy prędzej jak dwa nadzwyczajne, co niezawodnie spowoduje zepchnięcie jednego, a może obu, a wtedy zobaczymy co pozostanie z twojej garści ziemi na Montmartre!

Ben-Zuf uczuł się dotkniętym do żywego. Zgrzytnął zębami, zacisnął pięście, ale powstrzymał się i po kilku chwilach, podczas których strawił po części owę „garść ziemi,“ powiedział:

— Ależ panie kapitanie! ja jestem gotów!... niech pan kapitan komenderuje!... jeżeli jest sposób niedopuszczenia do tego spotkania...

— Niema, bałwanie!... i idź do dyabła!...

Na taką odpowiedź przygnębiony Ben-Zuf oddalił się, nie wyrzekłszy ani słowa więcej.

Następnych dni odległość, oddzielająca dwa ciała niebieskie, jeszcze bardziej zmniejszyła się i widocznem było, że ziemia, pędząc po nowej orbicie, przetnie orbitę Wenery. Jednocześnie bardzo także przybliżyła się do Merkurego. Ten, rzadko widziany gołem okiem, chyba gdy znajduje się w najbliższym punkcie zachodnim, lub wschodnim, ukazywał się teraz w całej swej świetności. Fazy jego, analogiczne z fazami księżycowemi, jego odbijanie promieni słonecznych, zlewających nań ciepło i światło siedm razy silniejsze aniżeli na kulę ziemską, jego strefy lodowe i gorące, prawie całkiem pomięszane, dzięki znacznej pochyłości osi obrotowej, jego pasy równikowe, jego góry, wysokie na dziewiętnaście kilometrów. wszystko to czyniło godnem najpilniejszego zbadania to ciało niebieskie, któremu starożytni nadali miano „świetnego.“

Ale niebezpieczeństwo nie zagrażało jeszcze od strony Merkurego. Wenus przedewszystkiem była dla ziemi niebezpieczną. Około 18 stycznia odległość dwóch tych ciał zeszła prawie do miliona mil. Świetlane wytężenie planety sprawiało, że przedmioty ziemskie wytwarzały gwałtowne cienie. Widać było, planeta obraca się około swej osi w ciągu dwudziestu trzech godzin i dwudziestu jednej minuty, co przekonywało, że długość dni tam nie zmieniła się. Można było dostrzedz chmury, któremi atmosfera, nieprzerwanie przeciążona parą, pstrzyła jego krąg. Widać było siedm plam, które, jak utrzymywał Bianchini, są prawdziwemi morzami łączącemi się z sobą. Nakoniec wspaniały planeta widzialny był wśród białego dnia; ale widzialność ta pochlebiała kapitanowi Servadac nierównie mniej, aniżeli pochlebiało jenerałowi Bonaparte, gdy za czasów Dyrektoryi ujrzał Wenerę wśród białego dnia i chętnie przystał na to, by mówiono, że to „jego gwiazda.“

W dniu 20 stycznia odległość „regulaminowa“ wskazana obu ciałom niebieskim przez niebieską mechanikę, jeszcze się zmniejszyła.

— W jakim niepokoju muszą znajdować się nasi koledzy w Afryce, nasi przyjaciele we Francyi i wszyscy mieszkańcy obu kontynentów? zapytywał czasami sam siebie kapitan Servadac. Jakie to artykuły muszą ogłaszać dzienniki obu kontynentów? Jakie muszą być tłumy po kościołach! Można przypuszczać koniec świata! Wyobrażam sobie, Boże mi przebacz, że koniec ten nigdy nie był tak bliski! A co do mnie, to w tych okolicznościach, dziwiłbym się, gdyby jaki okręt pojawił się, by nas odwieźć do ojczyzny! Czy gubernator generalny, czy minister wojny mają czas zajmowania się mną? Nim dwa dni upłynie, ziemia zostanie rozbita na tysiąc kawałków, które kapryśnie kołować będą w przestrzeni!

Nie miało tak stać się!

Przeciwnie poczynając od owego dnia, dwa ciała niebieskie, zagrażające sobie, zdawały się oddalać powoli jedno od drugiego. Na szczęście poziomy orbit Wenery i ziemi nie przecinały się, a zatem straszliwe uderzenie nie mogło nastąpić.

Ben-Zufowi bardzo się chciało wydać westchnienie zadowolenia, gdy kapitan podzielił się z nim tą dobrą wiadomością.

W dniu 25 stycznia odległość już dość skutecznie zwiększyła się, tak że cała obawa pod tym względem znikła.

— No, w każdym razie, rzekł kapitan Servadac, zbliżenie to zawsze posłużyło nam do przeświadczenia się, że Wenus niema księżyca!

I w samej rzeczy, Dominik Cassini, Short, Montaigne de Limoges, Montbarron i kilku innych astronomów, bardzo na seryo wierzyło w istnienie tego satelity.

— A szkoda, dodał Hektor Servadac, bo możebyśmy zabrali ten księżyc w przechodzie i mielibyśmy dwa na nasze usługi. Ale do licha! czyż nigdy nie dojdę do wyjaśnienia całego tego przewrotu w mechanice niebieskiej?

— Panie kapitanie! — rzekł Ben Zuf.

— Czego chcesz?

— Czy niema w Paryżu na końcu Luksemburga domu, z wielką jarmułką na głowie?

— Obserwatoryum?

— Tak jest! otóż czy wyjaśnienie tego wszystkiego nie należy do panów mieszkających w owej jarmułce?

— Rozumie się.

— A więc czekajmy cierpliwie na to wyjaśnienie, panie kapitanie i — bądźmy filozofami!

— Eh, Ben-Zuf! Czy wiesz przynajmniej, co to jest być filozofem?

— Wiem, panie kapitanie, ponieważ jestem żołnierzem.

— Cóż to zatem oznacza?

— Oznacza ustąpić, kiedy nie można zrobić inaczej; a właśnie znajdujemy się w tym wypadku, panie kapitanie.

Hektor Servadac nie odpowiedział nic swemu ordynansowi; ale można przypuszczać, że zaprzestał, przynajmniej tymczasowo, silić się na wytłómaczenie tego, co wtedy było dla niego niemożebnem.

Zresztą nieprzewidziany wypadek miał nastąpić, a wyniki jego miały być bardzo donośne.

Dnia 27 stycznia, koło godziny dziewiątej rano, Ben-Zuf wszedł do oficera znajdującego się w pokoju w posterunku i powiedział najspokojniej.

— Panie kapitanie!

— A co tam? — zapytał kapitan Servadac.

— Okręt!

— Bydlę! i mówisz mi to tak spokojnie, jak gdybyś mówił, że już zupa na stole!

— Ba! wszakże jesteśmy filozofami! — odrzekł Ben-Zuf. (C. d. n.)

*) Najwyższe góry na ziemi mają tylko 740 część jej promienia.

KRONIKA POZNAŃSKA.

Poznań dnia 10 listopada 1877 r.

(H). Poznań, gród stary Lecha, kolebka dziejowego rozwoju Polski, Poznań ten w jarzmie Krzyżaków.

Wszystko tu zdeptane, sprawiedliwość, religia, język, tradycya, historya, wszystko sponiewierane, nawet godność człowieka — a wszystko, w imię kultur-kampfu!

Dziwna! rząd niemiecki, rząd konstytucyjny, głoszący zasady postępu i liberalizmu, tolerancyi i wolności politycznej, depce wszystko, co śmie się sprzeciwić znanej jego zasadzie — *„siła przed prawem“.*

Straszna ironia: tolerancya i prawa majowe ze wszystkiemi konsekwencyami; równość w obliczu prawa, a co tylko polskie dręczy się i gnębi; wypędza się język ze szkół i zarządów — ba! nawet chcianoby go wypędzić z ogniska rodzinnego — lecz że to przechodzi siły nawet tak wyrafinowanego rządu, jakim jest rząd Bismarka, więc hajże! na życie polityczne narodu — zgnębić je do reszty i przenarodowić.

Ile sił trzeba wytężać, jakiej baczności przewodników narodu potrzeba, aby pod zaborem pruskim utrzymać to, co jeszcze pozostało, t. j. język i codzień ginącą pod naciskiem kulturkampfu — tradycyę.

Życie pod zaborem pruskim w tych warunkach, jakie obecnie istnieją jest trudne, tak trudne, że istotnie każdy, choćby najmniejszy postęp w kierunku narodowym, staje się wielkiem zwycięztwem.

Żeby dać wyobrażenie jak boleśnego wrażenia doznaje ten, kto z Galicyi, albo z Kongresówki przyjedzie do Poznania, dość tylko tyle powiedzieć, że na ulicach miasta, słyszy się tak mało ojczysty język, tak mało, że się go prawie nie słyszy; a stosunki mieszkańców do rządu, albo do współmieszkańców niemieckich, są tak naprężone, jak może nie były nigdy za czasów absolutyzmu w Galicyi.

Polak w księstwie jest paryasem; pozbawiony języka, skrępowany na punkcie wolności sumienia, skrępowany ekonomicznie, wiedzie żywot nędzny i nie do pozazdroszczenia.

Poznań, ognisko życia umysłowego i społecznego księstwa, w oczach pessymisty wydaje się prawie straconym dla przyszłości całej ojczyzny. Tak jednak jeszcze nie jest, było już gorzej, było gorzej, powiadam, pomimo, że w szko-

łach i w urzędach tolerowano język, pomimo, że uwzględniano narodowość polską. Dawniej, pomimo względnej swobody, księstwo żyło w stanie apatyi — dziś żyje, budzi się w każdem miejscu, gdzie tylko sięga polska mowa!!

Sceptyk mógłby mi statystyką wykazać, że w Poznaniu Niemców i żydów jest o dziewięć tysięcy więcej jak Polaków. Prawda, lecz przed laty pięciu stosunek ludności niemieckiej do polskiej był względnie do ówczesnej ogólnej ludności ten sam, ilość Niemców wzrosła tylko proporcyonalnie, lecz się zupełnie nie zmieniła, pod względem zaś umysłowym i ekonomicznym nietylko polski Poznań, ale i całe księstwo acz kolwiek powoli, jednak się dźwiga, a pod względem ducha narodowego stoi dziś nierównie wyżej, jak przed laty dziesięciu.

Na udowodnienie tego, co powyżej powiedziałem, nadmienię, że ilość czasopism, wychodzących w Poznaniu przed laty pięciu nie przenosiła nigdy liczby ośm, dziś pism polskich w Poznaniu wychodzi *jedenaście*, a zatem wychodzi więcej o trzy, niż dawniej. Następnie stosunek czytających pisma polskie tak miejscowe, jako też warszawskie i galicyjskie jest następujący: przed pięciu laty na 65 — 70 mieszkańców przypadało w księstwie pismo jedno — dziś przypada na jedno pismo 30 – 35 mieszkańców, stosunek więc zwiększył się prawie o połowę.

Liczba kółek rolniczych wzrasta z dniem każdym, co jest dowodem podnoszenia się krajowego rolnictwa. Ilość spółek przemysłowych nietylko, że nie upada, ale wzrasta. Fabryki w rękach polskich, chociaż przechodzą kryzys ekonomiczną, lecz istnieją i jest nadzieja, że żadna z nich nie runie.

Ilość towarzystw przemysłowych przed pięciu laty nie przenosiła liczby 30, dziś — towarzystw przemysłowych istnieje przeszło 40. Ilość wieców co rok prawie się potraja, lud codzień staje się pracowitszym i oszczędniejszym, czyta coraz więcej, a zatem z ludu tworzy się nowa falanga obrońców praw narodowych.

Posłowie w radzie państwa i w sejmie, dzielnie bronią praw narodu i wcale nie są tchórzami, podobnymi delegatom galicyjskim, ale otwarcie i z godnością upominają się nietylko o prawa dla księstwa, ale i o prawa dla całej Polski!

Są to fakta korzystnie mówiące o podniesieniu interesów moralnych i materyalnych księstwa, o których w następnych listach dawać będę szczegółowe sprawozdania.

Kto wie, czy ogłoszenie praw majowych i wprowadzenie ich w życie nie stało się jednym z głównych czynników wyprowadzenia ogółu du chowieństwa ze stanu apatyi. Prawa majowe obudziły całe duchowieństwo, zmusiły je nietylko do energicznego bronienia zagrożonych interesów kościoła, ale rozbudziły w duchowieństwie poczucie godności obywatelskiej. Duchowieństwo księstwa nie drży przed więzieniem, lecz mężnie opiera się przemocy, dźwiga wspólne jarzmo niedoli i niesie sztandar oświaty i rozwoju ekonomicznego narodu.

W końcu młodzież poznańska, pomimo, że język polski w szkołach jest przedmiotem nadobowiązkowym, że może się go uczyć każdy dowolnie, albo nie uczyć, młodzież ta, po za szkołą na zebraniach koleżeńskich, pokrzepia ducha swego czytaniem arcydzieł literatury i serdeczną pogawędką. Zebrania takie młodzieży szkolnej odbywają się naturalnie potajemnie, bo inaczej odbywać się nie mogą — a to pod grozą policyi i wypędzenia ze szkół. Tam gdzie jeszcze młodzież poczuwa godność swoję, gdzie dzielnie pracuje w imię przyszłości, w imię najświętszej zasady — wolności, tam jeszcze nie jest tak źle, nie jest źle istotnie!!

To strony dodatnie księstwa, doniosłe i pocieszające, lecz jest jedna rana, rana straszna, która nietylko rozwija się u wyżyn społecznych, ale sięgnęła nawet i niższych warstw. Strach pomyśleć, co dalej będzie, jeśli na kręgach Polski, własność ziemska, w kraju na wskróś rolniczym, przechodzić będzie tak dalej w obce ręce, jak to się dotąd dzieje. Pod tym względem choroba stała się prawie epidemiczną, bo niemal co miesiąca widzimy, jak posiadłość ziemska przechodzi w obce ręce, a z nią i przyszłość nasza. Wyparci z życia politycznego, pognębieni, pozbawieni języka i praw narodu, pozbywamy się sami, samowolnie i lekkomyślnie, jedynej arki naszego bytu — ziemi.

Jedynem polem rozwoju ekonomicznego w księstwie jest ziemia i nie odłączny od niej przemysł rolniczy. Ziemia, to jedyna karmicielka nasza, to przyszłość nasza, jeźli jej się pozbędziemy, będziemy — paryasami tylko!

Zaprawdę, jeźli pod tym względem stosunki się nie zmienią, smutna w następstwie jest przyszłość księstwa! Przecież każdemu wiadomo, że Niemcy z nienawiści do nas, ile razy własność polska przejdzie w ich ręce zacierają nawet ślad nazwy polskiej i wydartą wieś, albo sioło chrzczą nazwą niemiecką. Wiemy o tem, a jednak na tej drodze nie widać postępu, a nietylko, że nie widać postępu, ale z boleścią wyznać trzeba, jest coraz gorzej.

To złe, tak silnie rozwinięte, to już nie wina wrogów, lecz własna nasza wina! Życie nad stan, trwonienie lekkomyślne majątku tam, gdzie nie potrzeba, jest przyczyną wydziedziczania nas z własności. *Oszczędność i praca* — jedynem jest lekarstwem, na tę zatrważającą chorobę społeczną!

Towarzystw, których celem jest umiejętność, oświata i sztuka, mamy w Poznaniu cztery, a mianowicie: Towarzystwo przyjaciół nauk, Towarzystwo oświaty ludowej i dwa towarzystwa muzyczne.

Towarzystwa przemysłowe są: Bank rolniczo-przemysłowy p. F. Potocki i Kwilecki, „Westa“, towarzystwo wzajemnych zabezpieczeń na życie i „Ul“ spółka przemysłowo handlowa. Oprócz tego jest kilka stowarzyszeń rozwijających się pomyślnie i działających nadzwyczaj korzystnie na stosunki towarzyskie w Poznaniu. Główniejsze z nich są: „Stella“, stowarzyszenie śpiewu, Stowarzyszenie przemysłowców i Stowarzyszenie młodych przemysłowców.

O działalności tych towarzystw i stowarzyszeń zdawać będę sprawozdania przy każdej nadarzającej się sposobności zaznaczenia faktów w ich rozwoju.

Pism w Poznaniu wychodzi jedenaście, kilka słów choć o niektórych pozwolę sobie powiedzieć, zwłaszcza, że niektóre wcale są nie znane waszym czytelnikom.

O „Dzienniku Poznańskim“ i „Kuryerze poznańskim“, nie wspominam nawet wcale, dla tego, że z pismami temi w Galicyi wszędzie prawie spotkać się można. Obok „Dziennika“ i „Kuryera“ mamy jeszcze pisma polityczne *„Goniec Wielkopolski“* i *„Orędownik“*. Goniec wychodzi codziennie, Orędownik zaś trzy razy tygodniowo. Obadwa te pisma, jakkolwiek może zanadto katolickie, jednak, jako szczerze polskie, dzielnie bronią interesów polskich pod zaborem pruskim. Pism ludowych jest trzy: „Gwiazda“, „Oświata“ i „Niedziela“. Dwa pierwsze tj. Oświata i Gwiazda redagowane są umiejętnie i przynoszą rzeczywisty pożytek dla stanu średniego i ludu. Dobór artykułów często z dziedziny przyrody i dobór pouczających powieści czyni te pisma zdrowym pokarmem dla tych, którym są przeznaczone. O „Niedzieli“ powiedzieć tego nie można, jest ona może szkodliwszą, jak o tem myślał jej redaktor. Treść ostatniego numeru przekona najlepiej, czy pismo prowadzone w ten sposób, a poświęcone dla ludu przynieść może pożytek, albo jaką, choćby najmniejszą korzyść realną. W ostatnim numerze *„Niedzieli“* pomieszczono następujące artykuły: *„Na niedzielę* XXIV *po świątkach“* : *„Modlitwa kościelna“*; *„Lekcya z listu ś Pawła do Rzymian w rozdziele 13*; *„Nauka z Ewangelii św.“*; *„Święty Walford, patron rymarzy, siodlarzy“*; *„Kto rządzi kościołem“*; i *„Święty Jan Ewangielista w Gietrwordzie“*!!! Curiosum, nieprawdaż? Szanowny redaktorze, czyż pismo ludowe ma tylko ewangelii uczyć — a gdzież nauki przyrodnicze, gdzie ekonomia społeczna, gdzie historya Polski, czyż te nauki nie potrzebne wcale?

Z pism specyalnych zasługują na uwagę: *„Ziemianin, tygodnik przemysłowo-rolniczy“*, organ towarzystwa gospodarczego w księstwie, *„Ruch ekonomiczno-przemysłowy“* i *„Przegląd leśniczy“*. Pisma powyższe bez wątpienia są najlepiej redagowane w całem księstwie. Jedynem pismem literackiem u nas, jest *„Warta“*. Pismo to, gdyby mniej było żółciowem, a więcej sprawiedliwem w ocenieniu pism literackich i artystycznych, mogłoby być pożytecznem. Na pochwałę „Warty“ chyba przyznać trzeba, że redakcya jej jest konsekwentna i nigdy nie odstępuje od raz wywieszonego sztandaru.

Z nowych pism zapowiedział od nowego roku p. Chociszewski tygodnik literacki illustrowany pt. *„Lech“*. Imię p. Chociszewskiego w literaturze dziecinnej pozwala mieć nadzieję, że pismo to liczyć może na poparcie ogółu.

Poznań w przypadającym w przyszłym roku jubileuszu najznakomitszego naszego powieściopisarza J. I. Kraszewskiego weźmie także czynny współudział. Pan Stanisław Wegner młody i uzdolniony literat wyda książkę p. n, *„Złota książka“* tj. zbiór szczytnych zdań i myśli wyjętych z dzieł Jubilata. Wydawca tej oryginalnej publikacyi, bo dopiero pierwszej w naszej literaturze, czysty dochód z rozprzedaży tego dziełka przeznaczy na fundusz jubilata.

Do rzędu także oryginalnych wydawnictw należy *„Zbiór krytyk z dzieł polskich wydanych od 1850 do 1877 r.“* Nakładcą tego wydawnictwa jest p. Siewicz. *„Zbioru krytyk“* wyszedł już zeszyt pierwszy, zaleca on się rzeczywiście doborem artykułów krytycznych i umiejętnem ich zestawieniem.

Niestrudzony wydawca, p. Żupański, wyda wkrótce następujące dzieła: *Panteonu wiedzy ludzkiej tom trzeci*, *Pamiętników Niemcewicza tom trzeci Listy Lelewela w 5ciu tomach*: *Tom pierwszy listów Lelewela obejmować będzie: Listy do rodzeństwa od 1808 — 1827*; *Tom drugi obejmuje listy z emigracyi; tom trzeci: listy do rozmaitych osób; tom czwarty i piąty, listy ze zbioru w Raperswyll, które dawniej były własnością Al. Chodźki*: *Rocznik „Towarzystwa historycznego w Paryżu“*. *Chronologię historyi Polski przez Konopackiego w dwóch olbrzymich tomach; Listy Jana Śniadeckiego z przeszłego wieku w liczbie stu i*

Inflanty polskie, tłumaczenie dzieła p. Manteuffla z drzeworytami. Wszystkie te dzieła są już pod prasą i świadczą o znakomitej działalności p. Żupańskiego.

W przeszłym tygodniu policya zabrała p. Chociszewskiemu cały nakład kalendarza p. n. „Piast“ i „*Najnowsze proroctwo Ojca św. o Polsce*“ a p. Żupańskiemu „*Mowę nad grobem ks. Koźmiana*“ przez ks. Likowskiego. Strata, jaka spotkała p. Chociszewskiego, jest bardzo donośną, gdyż zabrano mu cały nakład kalendarza, którego wydanie wiele go kosztowało.

Tymi dniami na sejmie pruskim poseł *Kazimierz Kantak* w kwestyi ordynacyi dla W. ks. poznańskiego wypowiedział mowę, która powinna być przykładem patryotyzmu i odwagi cywilnej dla delegatów galicyjskich do rady państwa. Nie mogę się powstrzymać, aby nie przytoczyć ustępu z tej znakomitej mowy: „*Przywrócenie Polski — mówi mowca — jest historyczną koniecznością a nawet pożądanem w interesie Niemiec. Jeżeli Polacy cenią swą narodowość, to należy ich za to szanować a nie prześladować. Dotąd rząd nie zjednał sobie żadnych sympatyi, ponieważ najprostszych nawet życzeń Polaków o przyzwoite obchodzenie się z nimi nie uwzględnia!*“

Na zakończenie słów kilka o teatrze i o przedstawieniu na cześć J. N. Kamińskiego w stuletnią rocznicę jego urodzin.

Teatr polski w Poznaniu rozpoczął sezon zimowy dnia 6. października. Od tego czasu wystawiono na naszej scenie nowych sztuk siedm, a mianowicie: *Złe ziarno, Pan Damazy, Ferreol, Risler i Frimont, Fałszywe blaski, Polowanie na zięcia i Pierwszy proces,* a jednak pomimo znakomitego ich wykonania, teatr świeci pustkami. Czemu przypisać tę apatyę dla teatru, trudno odgadnąć, bo jeżeli nawet *Pan Damazy, Złe ziarno, Intryga i miłość,* zgromadza zaledwie po kilkadziesiąt osób do teatru, to wyznać trzeba, że publiczność tutejsza zbyt mało poczuwa się do popierania jedynego teatru polskiego na całe księstwo. Skład towarzystwa p. Doroszyńskiego w tym roku jest nadzwyczaj dobry: P. Podwyszyński, pp. Woleńscy, p. Roman i Siedlecki, oraz p. Otrębowa. Pp. Woleńscy i p. Podwyszyński zachwycają publiczność, są ozdobą naszego teatru. Pani Woleńska, w rolach Ludwiki w *Intrydze* i Heleni w *Panu Damazym*, niemniej we Frou-Frou, zjednała dla siebie najwyższą sympatyę i uwielbienie. P. Woleński w roli Ferdynanda w Intrydze i w *Złem ziarnie* powszechnie się podobał. Z pomiędzy młodych sił artystycznych, wyróżnia się niewątpliwie p. Lamurska, młodziuchna adeptka Melpomeny. Jestto talent, który pod tak znakomitym rezyserem, jakim jest p. Podwyszyński, rozwinąć się powinien na chlubę polskiej sceny. Tylko pracy, rozumnej pracy i intelligentnej, potrzeba, aby p. Lamurska doszła do zamierzonego celu.

Nietylko Lwów, ale i Poznań uczcił pamięć śp. J. N. Kamińskiego. W dniu 4. bm. w teatrze w stuletnią rocznicę urodzin tego znakomitego męża wystawiono „Fałszywe blaski“, komedyę p. Mellerowej, jeden akt „*Krakowiaków i Górali*“ i obraz z żywych osób, podczas którego p. Podwyszyński wygłosił wiersz następujący:

I.

Jest jeden naród, jeden wśród narodów,
Co się swej sławy dobił wieków cnotą;
Naród ten ginie wśród sybirskich lodów...
Lecz w jarzmie snuje — nić przyszłości złotą,
I choć wiek cały jest okuty w pęta
Żyje, bo cnota nad wszystko mu święta!

Jest jeden naród, co na wolność ludów,
Nigdy nie dobył swojego oręża,
Lecz bolem wieków, pasmem walk i trudów
Zwyciężał wroga tak, jak dziś zwycięża,
Ale nie mieczem, lecz potęgą ducha,
Co się w świat cudów rwie mimo łańcucha!

Jest jeden naród, co życia potęgę
Czerpie z arcydzieł mistrzów nieśmiertelnych,
I codzień znaczy krwią żywota księgę,
I codzień nowych ma obrońców dzielnych,
Codzień mężniejszych, świętszych ma szermierzy
Rycerzy czynów — i ducha rycerzy!

II.

Sto lat ubiegło na dziejów zegarze,
Jak na tej ziemi słońce bytu zgasło,
Jak wróg ojczyste w gruz zmienił ołtarze,
Jak w dziejach stłumił — Wolność... Polski hasło,
Jak naród trzymał w hańby poniewierce,
Jak chciał mu obcy dać język — i serce!

Lecz serca ludu wiara w przyszłość strzeże,
I przodków naszych nieskalane czyny,
A nad językiem czuwają rycerze,
Z harfami w rękach Apollina syny,
I dźwiękiem pieśni, jakby bożym cudem
Są skargą ludu — i strażą nad ludem!!

III.

I ty służyłeś twej ojczyźnie wiernie,
Tyś ją ubóstwił jedyną na świecie,
Ty dla niej szedłeś ubogi przez ciernie,
I niosłeś dla niej świętych natchnień kwiecie,
Byłeś szermierzem pieśni i nauki,
I byłeś twórcą, sercem polskiej sztuki!

Gdy mowę ojców ścigano jak zbrodnię,
Tyś dzielnie bronił polskiej mowy tchnienia;...
Przez drogę życia szedłeś zawsze godnie,
Na Tobie nie ma plamy, ani cienia,
Więc pamięć twoję wielbi Polska cała,
Póki jej stanie — wieczna Twoja chwała!!

Piśmiennictwo polskie.*)

(*Psychologia. Napisał dr. Teofil Zygmunt Ziemba, profesor w gimnazyum Ś-ej Anny, docent uniwersytetu Jagiellońskiego. Kraków 1877.*)

Dziełko to o 196 stronicach, nie licząc dwóch stronic przedmowy, własnym nakładem wydał autor przed kilku miesiącami. Szczęśliwszy od wielu innych, w krótkim przeciągu czasu doczekał się kilku recenzyi, które w dziele jego widzą same zalety. Wyjątek pod tym względem stanowi recenzya księdza Stefana Pawlickiego, który ze znajomością rzeczy wytyka liczne błędy, jakiemi psychologia pana Ziemby jest napełniona. Z tem wszystkiem i on, zajęty głównie zaletami stylu, obdarza p. Ziembę tylu pochwałami, że te zdają się potwierdzać zdanie innego recenzenta, że psychologia p. Ziemby jest najlepszą w naszej literaturze. Być to bardzo może. Pozwalamy sobie wszakże tymczasem zrobić uwagę, że ponieważ wszystkie nasze psychologie nie wiele są warte, więc i najlepsza z nich niekoniecznie ma być dobrą i coś wartą. Lepszość jej może być bardzo względną. W każdym razie zdania tu swego nie wygłaszamy, powstrzymujemy się z wyrokiem do czasu, aż rozpoznawszy rzecz, będziemy mogli go wygłosić z dowodami w ręku.

W słowie wstępnem powiada autor: "Tak bogata u innych narodów literatura psychologiczna ma u nas dotąd nie wielu jeszcze pracowników". Z tej uwagi, pod każdym względem bardzo słusznej, można by wnosić, że autor uważa siebie za jednego z owych *nie wielu jeszcze pracowników*, i że pragnie przyczynić się do wzbogacenia ubogiej naszej literatury psychologicznej. Za dobrą chęć słuszna należy się autorowi wdzięczność, chociażby w ostatecznym rezultacie miała ona pójść na bruk do piekła, stosownie do owego przysłowia, które powiada, że dobremi chęciami piekło brukowane. Ażeby osądzić, o ile mniemanie o sobie autora jest słusznem i jego dobre chęci są użytecznemi, potrzebujemy zastanowić się nad tem, jakie są charakterystyczne cechy pracownika w pewnej gałęzi nauki i jakie są warunki pożytecznej pracy?

Zbyteczna byłoby tu dowodzić, że pracownikiem nie ten jest, co się nauką zabawia w chwilach, w których nic innego nie ma do roboty, ale ten, dla kogo nauka jest głównem życia zadaniem, kto stara się przedmiot swój zbadać w całym jego zakresie, z gruntownością i dokładnością, na jaką pozwala stan nauki. Czy wskazane tu cechy rzeczywistego pracownika dadzą się wykryć w osobie p. Ziemby, na to wprost, bezpośrednio odpowiedzieć nie możemy dla tej prostej przyczyny, że nie znamy ani jego samego, ani jego zwyczajów i całego trybu życia. Pozostaje nam więc droga pośrednia, droga, którą nam wskazuje zdanie pisma ś-go: „*z owoców poznacie je.*“ Zastanówmyż się nad *owocem* p. Ziemby. Jest nim naturalnie jego psychologia.

Krytyk przystępujący do rozbioru dzieła treści filozoficznej, ma przed sobą dwie drogi: albo, biorąc przedewszystkiem na uwagę zasadę dzieła, stara się ocenić jej słuszność, wykazać, o ile ona zgadza się ze stanem nauki i dopiero wtedy przystępuje do szczegółów, wytykając, w czem one zgadzają się z zasadą, a w czem od niej odstępują i jej przeczą; albo, trzymając się procedury sądowniczej dla spraw bagatelnych, zostawia kwestye zasadnicze na stronie i stara się zbadać, czy dzieło napisane jest ze znajomością rzeczy, czy bez niej. Pierwszy sposób krytykowania, zasadniczy, używa się do dzieł oryginalnych, drugi, do wszelkiego rodzaju kompilacyi.

Jakkolwiek Psychologia p. Ziemby jest bez zaprzeczenia dziełem oryginalnem, w każdym razie nie w tym sensie, ażeby do niej można było stosować krytykę zasadniczą. Zresztą przy najlepszej nawet chęci niepodobna byłoby tego zrobić. Przy największej bowiem usilności nie mogliśmy w dziele p. Ziemby wykryć jakiejś zasady, o której możnaby było powiedzieć, że jest dla niego głównym punktem oparcia. Z konieczności więc musimy tym razem posługiwać się procedurą, jaka się zazwyczaj używa w sprawach bagatelnych.

Psychologia p. Ziemby jest książką popularną. Czy ją zaś autor przeznacza dla kształcącej się młodzieży, czy dla szerszego koła czytelników lub tylko dla pewnej ich grupy, na to odpowiedzieć nie umiemy. Sądząc wszakże z licznych wyjątków z naszych poetów, jakiemi stara się autor uprzyjemnić czytanie swego dziełka, wyjątków, do których możnaby zastosować znane u nas przysłowie: *Przypiął kwiatek do kożucha, by mu pięknie było,* możnaby wnosić, że swe dziełko przeznaczył dla płci nadobnej. Jako książka elementarna, ma ona jednę wielką zaletę, o której nie można zamilczeć, a to tem bardziej, że stanowi pod tym względem rzadki wyjątek w naszej szkolnej literaturze. Większa część książek szkolnych pisana jest albo językiem polskim, przykrojonym z niemiecka, albo nareszcie galicyjskim; książka p. Ziemby przeciwnie odznacza się polszczyzną czystą, językiem jasnym, zrozumiałym, a nawet pewną wytwornością stylu. I gdybyśmy mieli wyrokować o kwalifikacyach p. Ziemby na profesora języka polskiego, przyznalibyśmy mu je w jak najszerszym zakresie. Mamy tu atoli do czynienia z docentem uniwersytetu, wykładającym filozofię, z autorem psychologii, wyjaśniającym, zjawiska duszy ludzkiej. Otóż dla profesora uniwersytetu, dla psychologa nie wystarcza umieć pisać, potrzebuje on nadto umieć jeszcze i to, o czem pisze. Niezawodnie, że od dzieła popularnego nie możemy wymagać ścisłości, właściwej książkom ściśle naukowym, z tem wszystkiem nie może ono być pozbawionem dokładności i gruntowności, chociażby miało być tylko prostą kompilacyą. A tej właśnie dokładności i gruntowności nie znajdujemy wcale w psychologii dr. Ziemby. Dla czego? odpowiedź prosta. Ponieważ autor nie zna dokładnie i gruntownie przedmiotu, o którym zabrał się pisać. Że zaś ten zarzut nie jest z naszej strony stronniczem uprzedzeniem do autora, dowodzą tego fakta następujące:

A.) Autor nie wyrobił sobie jasnego pojęcia o stanowisku, z jakiego ma się zapatrywać na kwestye psychologiczne, ztąd brak w jego dziele metody, ztąd wikłanie się ciągłe w sprzeczności, któremi się zbija.

*

*) Po wydrukowaniu już recenzyi dziełka p. Ziemby otrzymaliśmy od naszego współpracownika p. Wł. Kozłowskiego wyczerpujący rozbiór tejże pracy p. Ziemby. Rozbiór ten, jako pochodzący od specyalisty zamieszczamy. (Pr. Red.)

Autor należy do szkoły psychologii opisowej, wierzącej tylko w obserwacyę wewnętrzną, z tem wszystkiem, nie chcąc zapewne okazać się zacofańcem, *stara się ile możności z doświadczeń fizyologicznych korzystać*, jakkolwiek nie wierzy, ażeby badania fizyologiczne zdołały „wynaleść klucz do wyjaśnienia wszelkich zagadnień życia duchowego dotyczących“. Jest on, jak na dzisiaj, fenomenalistą, nie wierzącym, by można było w sposób stanowczy i wyczerpujący odpowiedzieć na pytanie, jaka jest istota duszy, a jednakże nie traci nadziei, że w przyszłości zagadka ta będzie rozwiązaną. Nie wierzy on w ścisłą zależność władz duszy od ilości i jakości mózgu, a zarazem utrzymuje, że frenelogia ma pewną podstawę, albowiem dowiedziono, że „objętość czaszek w ogóle wzrastała we Francyi w pewnym do postępu oświaty stosunku“. (Str. 14). Ta niepewność w zapatrywaniu się autora na sprawy duchowe, świadcząca dowodnie, że myśl jego „chwieje się i wznosi na płytkim gruncie rozbujałych fluktów“, nie mogła się przyczynić do wytknięcia najwłaściwszej drogi, jaką należało postępować w traktowaniu przedmiotu. I dlatego w Psychologii p. Ziemby nie znajdujemy żadnej metody. Trudno bowiem nazwać metodą sposób, jakiego autor używa, kwitując czytelnika, pragnącego dowiedzieć się, czem są różne zjawiska psychiczne, krótką, acz dość trafną definicyą, i długiemi wywodami o rzeczach, które z psychologią albo żadnego, albo bardzo daleki mają związek, taki, ni mniej ani więcej, jaki mają załączane przez niego ustępy z naszych poetów. Trudno nazwać metodą mechaniczne zestawianie różnych faktów, nie zawsze szczęśliwie dobranych, faktów, które niczego nie dowodzą, nic nie wyjaśniają, a służą po prostu za instrukcyę, stanowią anegdotyczną część dzieła.

B.) Drugim zarzutem, o wiele cięższym, jaki musimy zrobić autorowi, jest zupełna nieznajomość nowego kierunku psychologii i fizyologii, jak również dość słabe obeznanie się z ważniejszymi momentami filozoficznego rozwoju. W Słowie Wstępnem podając charakterystykę kierunku psychologii, reprezentowanego przez Spencera, Bain'a i innych, utrzymuje, że kierunek ten polega na „wyjaśnieniu wszystkich zjawisk duchowych *jedynie* na drodze fizyologicznych badań“. W tem twierdzeniu autora musimy upatrywać dowód oczywisty, że nie tylko nie zna żadnego z wyliczonych przez siebie autorów, reprezentujących fizyologiczny kierunek, ale nie postarał się nawet dowiedzieć o nich chociażby z dzieła Ribot'a, które od roku mamy w polskiem tłumaczeniu. Co gorzej! Jakkolwiek autor w kilku miejscach swego dzieła odsyła czytelnika do fizyologii Levesa i do odczytów o duszy Wundta, mamy prawo utrzymywać, że ich wcale nie czytał, inaczej bowiem nie mógłby napisać, że Spencer, Bain, Lewes, Wundt, wyjaśniają zjawiska duchowe *jedynie* na drodze badań fizyologicznych, nie mógłby na odparcie tego kierunku cytować zdanie Richerand'a, wymierzone przeciwko fizyologii, zdanie, które nie wiadomo dla czego przypisuje autor Schroederowi van der Kolk, jakkolwiek w zacytowanem przez p. Ziembę dziele wyraźnie wypisane jest nazwisko jego autora.

Nieznajomość fizyologii jest tak gruntowna, że czytając pierwszą część dzieła p. Ziemby, traktującą o stosunku ciała do duszy i o zmysłach, nie wiemy, czemu mamy bardziej się dziwić, czy wołającemu o pomstę do nieba nieuctwu pod tym względem, którego musiałby się wstydzić uczeń piątej klasy, uczący się zoologii, czy zuchwalstwu autora, wygłaszającego z powagą erudyty jaskrawe brednie i traktującego swych czytelników sieczką, chociaż miał przed sobą otwarte śpichlerze najczystszego ziarna? Czy to u Levesa lub u Majera, jedynych fizyologów, jakich autor cytuje, wyczytał, że „jak najważniejszem narzędziem dla ducha w sprawie myślenia jest mózg, tak w sprawie uczucia najważniejszą znów rolę odgrywa serce, ponieważ dusza zostaje w ścisłym związku z krążeniem krwi, które może przyspieszać lub zwalniać“ (str. 105). Gdy zaś krążenie krwi przyspiesza się znacznie, napływ jej pociąga za sobą działanie nerwów ruchowych. (str. 130). W jakiej to fizyologii wyczytał autor, że człowiek przez oddychanie i pocenie się utraca wody w ciągu minuty do 18 gramów, co wynosi dziennie około 26 litrów wody? W ten sposób p. Ziemba przemienia człowieka w chodzącą fontannę, sączącą z siebie nieprzebraną ilość cieczy, która w razie potrzeby mogłaby zastąpić brak studni.

Pan Ziemba pisał kiedyś o Locku. Przypuszczając nawet, że samego Locke'a nie czytał, nie podpada wszakże wątpliwości, że *zna doskonale* dzieło Cousin'a, traktujące o Locku. Jakże więc wytłumaczyć, że w rozdziale swego dzieła, zatytułowanym szumnie: Odparcie sensualizmu, uważa autor za dostateczny przeciwko filozofii Locke'a argument twierdzenie, zkądinąd bardzo słuszne, że możemy słuchać, a jednak nie słyszeć, patrzeć, a nie widzieć itd., jeżeli myśl nasza jest czem innem zajęta? (str. 53). Czy Locke utrzymuje co innego? Zresztą p. Ziemba w całej swej psychologii, pomimo *odparcia sensualizmu*, pomimo, że wierzy w *bezwzględną wyższość ducha nad ciałem*, jest tak dobrym sensualistą, jak i sam Locke. Pan Ziemba odrzuca bowiem idee wrodzone. Pojęcia dobra, piękna i prawdy wyprowadza ze zmysłowych wrażeń, które u niego są sprawą czysto cielesną. Zmysłowe wrażenia obrabiane są u niego po kolei przez wyobraźnię, władzę pojęcia, rozsądek i rozum, ale obrabiane są tak, jak np. ziarna zboża przez kamienie młyńskie, rozcierające je na coraz cieńszą, delikatniejszą mąkę. Inaczej wprawdzie mąka wygląda od ziarna, co do swej wszakże natury niczem się od niej nie wyróżnia. Autor więc napróżno walczy przeciwko sensualizmowi, którego sam jest mimowolnym wyznawcą.

P. Ziemba występuje z całym arsenałem argumentów, pożyczonych w pośpiechu z pierwszej lepszej książki, na harc z determinizmem, którego jest wyznawcą. Kto bowiem powiada, że wola jest władzą pożądania, chociażby świadomego; kto przestrzega, że nie należy rozumieć wolności woli w ten sposób, żeby człowiek działał zupełnie bez względu na jakiekolwiek pobudki lub przyczyny: ten świadomie lub bezwiednie, dobrowolnie lub mimowoli przyznaje się do determinizmu. Determinizm bowiem nic innego nie utrzymuje, jak tylko, że wola ludzka, jak wszystkie inne zjawiska na świecie, podlega prawu przyczynowości i żadnym aktem ani ich wyminąć, ani zgwałcić nie potrafi. Gdyby p. Ziemba zamiast cytować Quetelet'a i Milla, zabrał się był do ich odczytania, dowiedziałby się jaka, jest istota determinizmu, nauczyłby się go odróżniać od fatalizmu, a tem sam oszczędziłby sobie trudu wypisywania argumentów, które w każdym razie nie wiele świadczą o bystrości umysłu, i zabezpieczyłby się zarazem od zarzutu, że przeciwko samemu sobie pisze i argumentuje.

P. Ziemba powiada, że w dziele swem wykazuje bezwzględną wyższość ducha nad ciałem. Otóż z tem wykazaniem nie spotykamy się w dziele pana Ziemby nigdzie, boć przecie każdy przyzna, że ganianie o tej wyższości nie jest jeszcze jej wykazaniem. Zresztą, gdyby doktor filozofii Ziemba chciał tę bezwzględną wyższość ducha nad ciałem wykazać, to by nie potrafił, najprzód dla tego, że myśl ludzka nie zdolna jest wznieść się do stanowiska bezwzględnego, a powtóre, mówić o *bezwzględnej* wyższości ducha nad ciałem, jest to prawić niedorzeczności. Jeżeli bowiem przyznamy, że duch jest bezwzględnie wyższym od ciała, natenczas musimy chyba przyjąć, że ciało było partacką robotą Stwórcy, że dopiero po tej pierwszej niefortunnej próbie udało mu się zrobić z podminennego materyału i w sposób inny rzecz nową, doskonałą — ducha. Potrzeba dalej przyjąć, że jakkolwiek Bóg wiedział, że pierwsza jego robota nic nie warta, żal mu przecież było wyłożonej na nią pracy i żeby mieć z niej jakiś użytek, użył je za pokrowiec dla ducha — arcydzieła rąk swych. Taki jest sens logiczny bezwzględnej wyższości ducha nad ciałem.

Przytoczyliśmy tu ważniejsze tylko błędy, pomijając drobne, które zajęłyby dwa razy tyle miejsca. Na zakończenie pozwalamy sobie jeszcze jednę zrobić uwagę, a mianowicie, że jeżeli się przytacza jakieś zdanie zasadnicze cytowanych przez siebie autorów, to dając im odprawę, potrzeba również przytoczyć i to, co oni mówią na jego obronę. P. Ziemba powiada, że Lewes jest przeciwnym podziałowi nerwów na czuciowe i ruchowe, a nie powiada, pod jakim to względem autor Fizyologii codziennego życia sprzeciwia się powyższemu podziałowi. Co przecież jest rzeczą nie małej wagi. Tak samo postąpił sobie p. Ziemba i z Herbartem. Mówiąc, że on pierwszy wystąpił przeciwko podziałowi duszy na władze, zdaje się utrzymywać, że nie odróżniał on pod żadnym w ogóle względem sprawy poznania, od spraw uczucia i pożądania, co jest wierutnym falszem. Herbart występował przeciwko takiemu podziałowi duszy, jakiego się trzyma p. Ziemba w swej psychologii, i miał pod tym względem zupełną racyę. Pan Ziemba przemilczając o tem, postąpił sobie albo jak człowiek, który z umysłu wymija rzeczy, nastręczające mu pewne trudności, albo jak ten, który słyszał, że dzwonią w jakimś kościele, ale nie wie w którym.

Władysław Kozłowski.

TEATR.

(Thea, dramat w pięciu aktach i 6 obrazach przez Gustawa Fiszera).

Tytuł sztuki, mówiąc o pięciu aktach i sześciu obrazach, nic nie powiada o prologu; tymczasem akt pierwszy, a właściwie dwie pierwsze odsłony, są niczem innem, jak naturalnym prologiem do następującej akcyi.

Oto jest prolog. Antoni Sztaba, syn kmiecia z Rzeszowskiego, staraniem matki i ostatnim groszem rodziców wychowany w szkołach, ukończywszy gimnazyum, powrócił na wakacye do domu. Wakacye się kończą, Antek ma odjechać — już nie do Rzeszowa, ale do Krakowa na uniwersytet. Nie prędko zapewne znów odwiedzi rodzinną chatkę, więc go tam wszyscy żegnają ze łzami w oczach. Matka mu daje ostatniego dukata wraz z błogosławieństwem i macierzyńską nauką; ksiądz proboszcz, który się wiele przyczynił do wychowania jego w szkołach, nie szczędzi mu także rad i nauk moralnych; Franek, brat Antka, żwawy chłopak wiejski, z miłością i czcią patrzący na rzewnego, surdutowego brata, odprowadza go aż za wieś. Tylko Juli Mielnikówny nigdzie nie widać, Juli, towarzyszki lat dziecinnych Antka, która go dawniej zdawała się kochać tak szczerze. Julę spotyka Antek dopiero po pożegnaniu się ze wszystkimi: spotyka ją modlącą się pod krzyżem na drodze za wioską. Juźci nie po co innego tam wyszła, jak żeby pożegnać bez oczu ludzkich Antka. Cisza wieczorna, zmrok księżycowy, uroczysta chwila rozstania, wszystko to usposabia do śmiałego wynurzenia uczuć; to też Jula w nieuczonych, ale wdzięcznych słowach wyznaje mu swoję miłość i daje medalik, aby go strzegł od wszystkiego złego.

A Antek? Antek różni się od kochających go wieśniaków strojem i nauką, ale nie sercem. Możnaby mu zarzucić, że nieco za kunsztownie się wyraża, jakkolwiek ośm klas gimnazyalnych poniekąd upoważnia go do tego. Kunsztowność ta szczególnie razi, gdy jest zwróconą do Juli, która ma dlań pełne prostoty i poezyi słowa

Ale bądź co bądź, prolog, o którym mowa, jest tak ładnym obrazkiem wiejskim, tak wdzięczną sielanką, że musimy jej przyklasnąć z całego serca i powinszować panu Fiszerowi autorstwa tego obrazu. Postacie matki i Juli są zapewne nieco uidealizowane, ale wszelka idealizacya jest dobrą, nawet pożądaną w poezyi, jeżeli ma w podstawie realne uczucia i stosunki, jak to ma miejsce w prologu do Thei.

Co się tyczy samego dramatu, który się rozpoczyna od trzeciej odsłony, to jest on nierównie słabszą od prologu kompozycyą. W prologu p. Fiszer był prawie zupełnie samodzielnym, z natury malował i z wielkim wdziękiem krajobraz sielski; w dramacie jest świadomie, czy nie świadomie kopistą. Baronowa Stern to jest kopia Dalili Feuilleta, Antoni Sztaba to Roswein, wreszcie Henryk Miejski zastępuje tu miejsce owego Włocha melomana, Carniolego, czy jakoś podobnie. Treść więc sztuki taka, że baronowa znudzona dotychczasowym tłumem wielbicieli, postanawia oczarować Antoniego, którego poznała na balu i zrobić z niego jednę ze swych licznych ofiar. Udaje się jej to pomimo przeciwdziałania wytrawnego Henryka, przyjaciela Antoniego. Antoni zakochał się w niej na zabój, baronowa go wkrótce odpycha, Antoni rozpacza, choruje i myśli coś nawet o samobójstwie, baronowa jeszcze by go chciała raz przyciągnąć, (w Dalili jest to umotywowane, w Thei bynajmniej), Antoni gotów na jej wezwanie, pomimo oporu przyjaciela, jeszcze raz polecieć jak ćma do tego płomienia, gdy w tem zjawia się matka, wskutek czego następuje przełom w uczuciach bohatera, który w odpowiedź na wezwanie baronowej odsyła jej theę, ową różę, którą dostał od niej przy pierwszem poznaniu się, a którą dotychczas ciągle nosił na sercu.

Zasłona zapada, domyślamy się, że Antoni wróci do swojej Juli.

Widzimy z tego, że zakończenie jest tu inne, jak w Dalili; pomimo to jednak Thea nie przestaje być kopią feuilletowskiego dramatu. Z trzech głównych postaci Henryk Miejski ma jeszcze największej oryginalnego zakroju, i to, co mówi o sobie na początku, jest dość zajmujące. Pani baronowa jest dość ordynaryjną kokietką, dlatego nie może budzić większego zajęcia, i dlatego płomienna miłość i czarna rozpacz Antoniego wydają się jakby rozdmuchiwane jakimś wiatrem zakulisowym.

Cokolwiekbądź, pierwsza ta poważna dramatyczna próba pana Fiszera składa wyraźne świadectwo o zasobach talentu w autorze. W dyalogu nic brak, co prawda, komunałów, ale są też obok nich wyrażenia świeże, obrazowe, mające akcent prawdziwego uczucia; stosuje się to przedewszystkiem do prologu.

Publiczność przyjęła sztukę sympatycznie. Autora wywoływano kilka razy. *J. T.*

PROFESOR GIRSZTOWT.

Żal ciężki ściska serca piszącemu o zgonie kolegi, dobrego przyjaciela, zasłużonego nauce i krajowi męża.

Zbrodnicza ręka zaślepionego szaleńca przerwała pasmo życia zacnego, pracowitego dla dobra ogółu, niezmordowanego w niesieniu pomocy potrzebującym, miłującego prawdę, czującego wartość i potrzebę oświaty ogólnej, brzydzącego się kłamstwem i obłudą, niepohamowanego w żądzy szlachetnych pragnień, wzniosłych usiłowań, skutecznych czynów.

Nie czcze frazesy, nie puste słowa zużytej panegiryki nasuwają nam te wyrazy pod pióro zbolałej cierpieniem ręki — na nieszczęście są one tylko bezsilnem wyrażeniem nieutulonego żalu po stracie cięższej o wiele, aniżeli mowa wyrazić może.

Stratę taką ponieśliśmy niewątpliwie wszyscy z chwilą śmierci nieboszczyka, którego pamięci poświęcamy krótkie to wspomnienie.

Historya życia nieboszczyka jest dla rutynowanego biografa krótką, w ciekawe szczegóły skąpą i o ile z własnego opowiadania niemniej z doniesień osób najbliższych jemu wiemy, zawrzeć się daje w następujących wyrazach.

Ś. p. Polikarp Girsztowt, urodzony r. 1827 z niezamożnych rodziców w pobliżu Kiejdan na Żmudzi, uczęszczał do klas gimnazyalnych w Wilnie, poczem przeszedł do Akademii medyko-chirurgicznej w Petersburgu, gdzie wysłuchawszy kursów wydziału lekarskiego, otrzymał stopień doktora medycyny, chirurgii i akuszeryi, poczem pełnił obowiązki asystenta kliniki chirurgicznej.

W pamiętnej kampanii krymskiej odbył służbę wojskowo-lekarską, wytrzymał wraz z załogą oblężenie Sewastopola, za co w uznaniu zasług zaszczytnie został dekorowanym.

Po odbytej następnie podróży naukowej do Niemiec, Francyi i Anglii, w czasie której, jak również poprzednio, kształcił się wyłącznie w przedmiotach i technice chirurgicznej, pozyskał w r. 1858 posadę w byłej Akademii medyko-chirurgicznej w Warszawie, na katedrę chirurgii teoretycznej, którą później piastował w b. szkole głównej i w cesarskim uniwersytecie warszawskim.

W r. 1871 objął po profesorze Korzeniowskim, (który przeniósł się do Petersburga), katedrę kliniki chirurgicznej fakultetckiej w uniwersytecie warszawskim, na której do końca życia pozostawał.

Właściwa działalność nieboszczyka, dla literatury krajowej najważniejsza, rozpoczyna się w r. 1866 przy utworzeniu *Gazety lekarskiej*, której w pierwszych latach był naszym współredaktorem, a później redaktorem odpowiedzialnym i wydawcą.

Jednocześnie prawie z *Gazetą lekarską* rozpoczęło się wydawnictwo *Biblioteki umiejętności lekarskich*, tj. zbioru dzieł do dziedziny nauki lekarskiej należących a uczącym się niezbędnych.

Wydawnictwa tego, dla literatury lekarskiej krajowej arcyważnego i pożądanego, dotychczas niepraktykowanego, co więcej, w literaturze zagranicznej nawet wówczas niebywałego, był ś. p. profesor Girsztowt sprężyną i wykonawcą.

Prof. Girsztowt był, że tak powiem duszą i narzędziem wydawnictwa Biblioteki, którą, wyznajemy otwarcie, siłą nieugiętej woli swej i niezachwianą wytrwałością, stworzył i przez dziesięć lat prowadził, przełamując tysiączne trudności, których zwalczeniu poświęcił życie, których wykonania padł ofiarą.

Historya literatury wykaże kiedyś — niestety zapóźno dla zmarłego — całą wielkość jego zasług dla literatury medycyny rodzimej i dla uczącej się młodzieży, oceni jego pracę, którą dziś zna tylko szczupła garstka kolegów wspólnie z nim pracujących.

Oprócz tego olbrzymiego wydawnictwa, obejmującego wszystkie gałęzie nauki lekarskiej, przy pomocy chętnych o dobro nauki przyjaciół wydawał śp. Girsztowt nadto: *Przegląd postępu nauk lekarskich* w formie pisma peryodycznego, *Kalendarz lekarski*, a zamierzał wydać *Bibliografię lekarską polską* i *Słownik lekarski*, do czego troskliwie zbierał materyały.

Z prac naukowych własnych wydał nieboszczyk pierwszą część obszernego dzieła: *Chirurgii teoretycznej*.

Kraj traci w nim najdzielniejszego motora do prac pożytecznych — młodzież najprzychylniejszego opiekuna. Koledzy najzacniejszego towarzysza, chorzy jednego z najdzielniejszych operatorów — cała ludność Warszawy przejęta jednogłośnym, szczerym żalem.

Czyż potrzeba więcej pochwał?

Cześć jego popiołom!

Prof. dr. Łuczkiewicz.

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 24. listopada.

Jego Ekscelencya pan minister oświecenia na obiedzie w hotelu Żorża z toastem w ręku próbował odegrać rolę humorystycznego swata Uniwersytetu lwowskiego z młodziutką szkołą politechniczną. Przy dobrej woli mowcy Ekscelencyi znalazło się wiele punktów stycznych między teologią naprzykład a architekturą, między prawem a inżynieryą; szkoda więc, żeśmy się o tym kojarzącym talencie dopiero po odjeździe pana ministra dowiedzieli, albowiem prosilibyśmy go o wynalezienie analogicznych podobieństw między krakowskim *Czasem* a *Narodówką*. Kto wie, czy nie udałoby się panu ministrowi skojarzyć to nowe małżeństwo, które już posiada wiele warunków wzajemnego kochania, choćby dla tego, że się ciągle kłóci między sobą. A stary *Czas* widocznie ma jakieś konkurenckie zamiary na Lwów, jeżeli sobie już najął cymbalistę w osobie p. Alfreda Szczepańskiego, który wprawdzie nie umie jeszcze zawładnąć swoim instrumentem jak śp. Jankiel z Tadeusza, ale za to na drumli demokratycznej zbija sobie zęby przygrywując ucztom wielbicieli *Czasu* i daje przedsmak tej jednej jedynej struny, z którą sobie nieboszczyk Jankiel nie mógł dać rady. Panowie krakowscy, na miłość Boską, za wiele tych *wstępnych* dla siebie kadzideł — dobra sprawa sama za siebie mówi... Gdyby naprzykład nasz *Tydzień* chciał się pochwalić ze swoją działalnością, to by już dawno roztrąbił, że za jego inicyatywą nastąpiła uroczystość pięćdziesięcioletniego jubileuszu literackiej pracy czcigodnego Józefa Supińskiego, któremu miasto nasze wyraziło najwyższy hołd swój, udzielając honorowe obywatelstwo.

Przez cały tydzień mieliśmy piękną pogodę, która wyprowadziwszy na ulicę mnóstwo nadobnych Lwowianek, pozwoliła niestety skonstatować przerażający żono-wstręt danderyi lwowskiej. Panny swoją drogą, kawalerya swoją drogą, jak dwie siły odśrodkowe mijają się po ulicach bez tych strzelistych spojrzeń, które kiedyś nas starych weteranów prześwidrowywały do dna samego serca. Płeć piękna nawet stara się przypodobać mężczyznom zbliżając ubiorem choćby do swych antagonistów, a swoją drogą nie może zjednać do rączek swych konkurentów. Zagniewani wąsacze spuszczają wzrok swój do ziemi przed każdym paltocikiem zgrabnej Lwowianki uciekają przed uśmiechem jakby przed zarazą jaką, w obawie, aby ich senzacyjny spokój ducha nie został zakłócony: „Niech spi licho,“ każdy powiada, próbując czy serce jeszcze bije.

Co innego by było, gdybyś ty piękna czytelniczko miała być gmachem sejmowym? Temu, w terminie licytacyjnym konkurentów nie zabrakło — poprzyjeżdżali aż z Wiednia i żądali nawet mniej posagu, niż mu Wydział krajowy przeznaczył... Pan Kędzierski rywalizował z panem Kozłowiczem, a Stephan i Zacharyas wystąpili nawet razem, aby tylko wykroić niemiecką kurtę Sejmowi galicyjskiemu. Wydział krajowy jako przezorny ojciec przyszłej narzeczonej znalazł się w niemałym kłopocie: swój dobry, a i tamten dobry, bo tańszy, ale że za tanie pieniądze zwykle psy mięso jedzą, a na taką dużą kobyłę, jakim ma być gmach sejmowy, i psów tyle nie ma we Lwowie z powodu ciążącego na tych biednych stworzeniach podatku—zatem odłożono całą tę sprawę do nowego terminu, i daj Boże, aby spodziewany zysk z tego przedsiębiorstwa nie dostał się w ręce przebiegłych Wiedeńczyków. Zawsze to moi panowie przeszło milion guldenów; a u nas nie brak próżnych i ochoczych rąk do pracy, nie brak techników, którzyby przy budowie tej zdolności swe zużytkować mogli, potrzeba tylko odwagi i rachunku: jeżeli tamci mogą i my powinniśmy módz!

Szanowne gospodynie, na kieszeń waszą czyha nowy nieprzyjaciel w postaci podatku od nafty, który Rząd sprzyjający krajowi ma zamiar w ilości $3^1/_2$ centa na funt nałożyć. Producenci nafty przerażeni; — ich dotychczasowe usiłowania podniesienia tego przemysłu będą sparaliżowane — nakłady stracone, bo nie wytrzymają konkurencyi z produkcyą amerykańską. Jeżeli ten Rząd sprzyjający krajowi potrzebuje pieniędzy, niech ciężar ten rozłoży na wszystkich, a dlaczegoż Galicya sama jedna w Austryi posiadając kopalnie nafty, ma być ofiarą całopalną deficytu państwowego? Katastrofa ta za-

grażająca naszemu przemysłowi naftowemu wypadła właśnie wtenczas, kiedy Wydział krajowy utworzył w biórze swem posady inżyniera górniczego, dla udzielania rad i wskazówek chcącym korzystać z produkcyi płodów kopalnianych, wśród których nafta pierwsze u nas zajmuje miejsce.

Oddzielna deputacya producentów, poparta staraniami Izb handlowych, jedzie do Wiednia, zobaczymy więc niedługo próbę tego sprzyjania krajowi i wpływ naszej posłusznej Rządowi delegacyi, której „Czas“ każe się trzymać czarno-żółtej chorągwi.

A propos delegacyi, w tych dniach wyborcy lwowscy, mówiąc po galicyjsku, wysadzili komitet 151 mężów zaufania, który znów wysadzi z siebie podkomitet, a ten podkomitet wysadzi kandydatów na opróżnione po czcigodnym Smolce krzesło poselskie w Radzie państwa. Pocieszającym faktem tego zebrania było oddanie czci ustępującemu posłowi miasta Lwowa, które obecni jednogłośnie zawotowali powstając z miejsc swoich... Zasłużony w tylu przygodach i bojach parlamentarnych sprawy polskiej nasz weteran zostawia w sercach kraju niezatartą niczem pamięć prawdziwego syna tej ziemi i dobrze zasłużonego swej ojczyźnie. Obyśmy kiedyś toż samo powiedzieć mogli o jego następcy!

* * *

Spóźniliśmy się z podaniem wiadomości o zawiązującej się spółce księgarzy lwowskich w celu wydawnictw ludowych i daliśmy się wyprzedzić pismom warszawskim, które rzecz tę już podniosły. Na usprawiedliwienie się to możemy powiedzieć, że z wielką ostrożnością donosimy o wszelkich przedsiębiorstwach na korzyść ludu podejmowanych, z obawy nieskompromitowania sprawy zbyt wczesnem jej rozgłoszeniem. Więc oczekiwaliśmy, aż sprawa cała dojrzeje, skrystalizuje się i jako czyn dokonany stanie przed publicznością. Gdy jednak już rzecz stała się głośną, nie pozostaje jak i nam wyrazić prawdziwe zadowolenie, widząc to patryotyczne usposobienie księgarzy naszych, którzy oświadczyli gotowość zawiązania spółki i przeprowadzenie tak ważnej i tak potrzebnej narodowi rzeczy, jaką jest wydawnictwo ludowe. Co do programu, o ile nam wiadomo, spółka ma zamiar rozpocząć wydawnictwo szeregiem broszur z dziedziny rolnictwa i przemysłu rolnego, jako to: podręcznik pszczelnictwa, ogrodnictwa, sadownictwa, gospodarstwa domowego, hodowli bydła, drobiu, trzody, o nabiale, o nawozach itp., a w dalszym ciągu przystąpić do wydania podręcznej biblioteczki naukowej: historyi polskiej, geografii, geologii, ekonomii, fizyki itd. Przystąpienie swoje do spółki zdeklarowali pp.: A. D. Bartoszewicz (księgarnia Polska), Wł. Bełza, J. Milikowski, F. H. Richter, Seyfarth i Czajkowski, Karol Wild.

Nie sądzimy, aby spółka podejmując tak wielkiego użytku rzecz, mogła się narazić na straty, owszem mamy to przekonanie, że ofiara w tym celu złożona zwróconą jej zostanie przez naród z procentem, wszakże nie zmniejsza to zasługi księgarzy i stawia ich na stanowisku obywateli, dbających o przyszłość kraju, stawia ich na stanowisku godnem naśladowania.

Mamy również nadzieję, że nie zabraknie zdolnych współpracowników, którzy pióra swe opracowaniu odpowiednich podręczników poświęcić zechcą.

Bliższe szczegóły poda program i prospekt wydawnictwa.

* * *

Odwiedził Lwów sympatyczny nasz piosenkarz *M. Rodoć.* Na wieczorku pożegnalnym, urządzonym przez wielbicieli jego talentu, kolegów i przyjaciół, p. Wł Bełza wygłosił wiersz, który tu przytaczamy:

W ALBUMIE AUTORA
„Piosnek i gawęd humorystycznych.“

„Dumne dziecię i harde,
Jest ta twoja piosenka,
Dla przemocy ma wzgardę,
Przed królami nie klęka“

A dziwna to i rzewna,
Ta serdeczna pieśń twoja,
Jak zaklęta królewna,
Jak rusałka u zdroja;

Wabi ludzi swym spiewem,
W czary swoje ich mota,
To szlachetnym drży gniewem,
To się skarży sierota..

To się zerwie po chwili.
W orle skrzydła uderzy,
To jak dziecię zakwili,
Jękiem cichych pacierzy...

I z niskiego gdzieś progu,
Obca — między obcemi,
Tylko skarży się Bogu,
Na nieprawość tej ziemi.

O! rozumiem ją bracie
Znam jej źródło promieni,
Wy na oczach łzy macie
Gdyście chłostać zmuszeni...

Bo społeczność tak twardo
Sama karci się pusta,
Wykrzywiając pogardą.
Święte wieszczów swych usta.

Bo los, dziki szyderca,
Tak dziś z nami się liczy,
Że miast wiary, do serca
Wlewa jady goryczy.

I nie dziwić się potem,
Że pieśń nasza skrzydlata.
Miast sokolim iść lotem,
W proch się ziemi pomiata...

I miast skrzydła motyle,
Gdzieś rozwijać na słońce,
Nędzna, tarza się w pyle,
Jako gady pełznące.

Gdyby nie ta otucha,
W życia ciężkiej kolei:
Że w głębinach gdzieś ducha,
Tli iskierka nadziei...

Co nas wznosi ku górze
Z pieczar ziemskiej ciemności,
I wskazuje w lazurze,
Gwiazdkę lepszej przyszłości.

Jużby, bolów tych syta
Pierś rozpękła z cierpienia,
Już by lutnia rozbita
Szła na pastwę płomienia...

Już by w sercu i duchu
Wieczny cień siadł, co ślepi!
. . . . . .
Ty rozumiesz to druhu,
I dośpiewasz to lepiej.

Władysław Bełza.

LISTY Z KRAJU.

Kraków 4. listopada.

Wyczytawszy w Nrze 6. „Tygodnia“ sprawozdanie z odczytu p. Alfreda Szczepańskiego o „Koszykarstwie jako przemyśle domowym“, nie mogłem przyjść do siebie z zadziwienia, jak p. Szczepański mógł światłej publiczności lwowskiej tyle mylnych dat i szczegółów podać o początku i rozwoju tego przemysłu w Krakowie i jego okolicy.

Nie posądzam go o złą wiarę, lecz widocznie brak mu dokładnych wiadomości o rozwoju tego przemysłu, o które przecież mógł się był postarać, jeżeli się wybierał do Lwowa na odczyt o tym przedmiocie. Aby mylne przedstawienie rzeczy nie szerzyło się w kraju i nie dało powodu do mniemania, że wystawa koszyków we Lwowie była blichtrem, że wyroby te pochodziły z ręki nauczyciela, żony jego i kilku zdolniejszych uczniów, jak p. Szczepański twierdzi: zniewolony jestem, będąc dokładnie obeznany z rozwojem tego przemysłu w Krakowskiem od jego początku aż do tej chwili, sprostować twierdzenia p. Szczepańskiego i uzupełnić to, co milczeniem pominął.

Szkoła koszykarstwa założoną została w Ściejowicach w marcu 1874 r. Tam przebyła do jesieni 1875 r., a w ciągu tego czasu wyuczyło się bardzo dobrze robienia koszyków około 30 chłopców, nie zaś 9, jak p. Szczepański utrzymuje.

Gdy tym sposobem zarody tego przemysłu rzucone zostały w gminach: Ściejowice, Ręczna, Piekary Śmierdząca i Wołowice, nauczyciel p. Karg, będąc nauczycielem wędrującym (Wanderlehrer), przeniesiony został do Liszek o pół mili od Ściejowic, aby w tej okolicy również ten przemysł krzewić; boć niepodobna wymagać, aby chłopcy o pół mili lub dalej do szkoły koszykarskiej zwłaszcza w zimie chodzili. W Liszkach pozostał nauczyciel do Stycznia 1877 r. i tam odwiedził szkołę hr. Włodzimierz Dzieduszycki, wówczas marszałek krajowy. Zastał przy robocie kilkunastu chłopców, przypatrywał się z zajęciem ich pracy, zakupił dla muzeum lwowskiego pewną ilość koszyków i przyobiecał, iż się wstawi u Wydziału krajowego o subwencyą dla szkoły, która też w kwocie 500 zlr. w krótkim czasie szkole wypłaconą została. W ciągu r. 1876 przemysł koszykarski rozwinął się dalej: w Liszkach, Kaszowie, Nowej Wsi, Bielanach, Czernichowie, w których to gminach przeszło 30 chłopców doskonale koszykarstwa się wyuczyło

Oprócz gmin już wspomnianych w Krakowskiem, wyuczyli się jeszcze w szkole i należą do najcelniejszych robotników: chłopcy z Galicyi: z Krzywaczki w odległości 3 mil, z Marszowic o 4 mile od Krakowa, z Brzeska o 9 mil od Krakowa, a nawet jeden z Nienadówki z Rzeszowskiego, wyuczony kosztem ks. Momidłowskiego. Tak więc do końca r. 1876 przeszło 60 chłopców trudnilo się rzeczywiście tym zarobkiem w różnych i dość dalekich od Krakowa okolicach.

Na życzenie p. ministra handlu nauczyciel w styczniu 1877 przeniósł się do Krakowa, a zarząd szkoły powierzono komitetowi złożonemu z p. Starosty Bobowskiego jako przewodniczącego, z p. Dr. Weigla, p. Baranieckiego dyrektora Muzeum przemysłowego w Krakowie, p. Dr. adw. Machalskiego, p. Skirlińskiego właściciela Liszek, i p. Zaplatalskiego kupca w Krakowie.

Przeniesienie szkoły do Krakowa nie przyniosło tych pomyślnych skutków, jakie sobie obiecywano. Rodzice przyprowadzili wprawdzie dzieci do szkoły, lecz żądali, aby natychmiast lub najdalej po tygodniu dzieci ich otrzymywały zapłatę. Ponieważ to być nie mogło, bo uczeń ledwie po trzech miesiącach może doprowadzić do tego, że zrobi koszyk mający jakąś wartość w handlu, a przez ten czas wiele materyału zepsuje; dla tego liczba uczniów z miasta jest rzeczywiście szczupłą.

Może być, że to doświadczenie spowoduje p. ministra handlu do przeniesienia tej szkoły znowu napowrót na wieś.

Po wsiach zaś robota nie tylko nie ustała, jak to p. Szczepański utrzymuje, lecz idzie dalej i wyrobił się już w tej gałęzi prawdziwy przemysł domowy.

Z gmin, o których wyżej wspomniano, robotnicy co tydzień przynoszą do szkoły gotowe wyroby, otrzymują płacę od sztuki i zabierają z sobą przy-

gotowany materyał do wyrobu na następujący tydzień. Tym sposobem robotnik zręczny, przy miernej pracy, zarabia tygodniowo po 3 złr. i więcej - co na rok przeszło 150 złr. uczyni. Jeżeli się zważy, że robotnicy są to dotąd chłopcy od 14 17 lat mający; że wielu z nich dopiero początkuje; że nie pracują w fabryce, lecz w domach, przy rodzicach; że to zajęcie nie przeszkadza im bynajmniej w pomaganiu rodzicom w gospodarstwie, że jest to zarobek boczny, który więcej przynosi, aniżeli zarobek dzienny przy gospodarstwie; że w końcu obecnie, gdy dwory, zwłaszcza w okolicy Krakowa, bardzo wiele maszynami rolniczemi sobie pomagają, nawet we dworach zarobku chłopcy nie znajdują; to przyznać należy, że taki przemysł jest prawdziwem dobrodziejstwem dla włościan, bo ich chroni od próżniactwa, a tem samem umoralnia, bo im daje dochód pewny gotowy, który ich broni od lichwy, od wywłaszczenia i pozwala nawet odłożyć coś na gorsze czasy, w końcu, że gospodarstwo ich przytem nic nie cierpi, bo wiadomo, że włościanin, jeżeli nie jest kmieciem o 20tu morgach lub więcej, 7—9 miesięcy w roku próżnuje, przesiadując w karczmach lub chodząc po jarmarkach, odpustach itp.

Dla krzewienia nauki po wsiach komitet urządził w różnych miejscach szkółki filialne. Wyuczeni zupełnie robotnicy mianowani są pomocnikami nauczyciela (Vorarbeiter) i udzielają każdy z osobna nauki kilku nowym uczniom, których około siebie zbierają. Po kilku miesiącach wprawy, gdy uczniowie złożą dobrze egzamin, pomocnik otrzymuje za każdego wyuczonego robotnika po 10 złr. Nauczyciel zaś pan Karg, objeżdża od czasu do czasu te szkółki filialne i kieruje nauką. Na te objazdy wyznaczony jest fundusz 250 złr. w. a. Takim sposobem przybyło w ciągu roku 1877 kilkunastu nowych robotników, tak że liczba wszystkich obecnie około 70 wynosi. Oprócz tego komitet przychylając się do życzenia p. prezesa Sądu krajowego, przeznaczył dwóch robotników na nauczycieli do więzień tutejszego Sądu karnego. którzy od lutego do września t. r. udzielali więźniom nauki. Obecnie przeszło 60 więźniów wyuczyło się koszykarstwa i zajmuje się tym zarobkiem.

Co się tyczy wystawy lwowskiej, na której się znajdowały wyroby według wzorów bawarskich, berlińskich, paryskich, hiszpańskich, a nawet japońskich wykonane, *z wszelką stanowczością i pewnością utrzymuję*, że wszystkie koszyki, jakie tam były, są wyłącznie dziełem robotników, wyszłych ze szkoły Ściejowskiej i ani jednego nie było koszyka, któryby pochodził z ręki nauczyciela lub żony jego, jak to p. Szczepańskiemu twierdzić się podobało. Jedynie przy koszyczkach na wzór paryski robionych, torbeczki jedwabne pochodziły od żony nauczyciela, bo to jest robota kobieca, do której ręka chłopca jest niezdatną.

Jest więc siła robocza 60—70 chłopców dobrze wyuczonych staraniem rządu i ludzi dobrej woli. Idzie o to, żeby ich ciągle i stosownie zatrudniać. Rząd *nie może być fabrykantem, ani przedsiębiorcą*. W tem więc zgadzam się najzupełniej z p. Szczepańskim, że potrzeba jest przedsiębiorcy, któryby wziął ten interes w rękę, dodawał robotnikom materyału surowego, narzędzi, maszyn i postarał się o odbyt wyrobów. Czyli tym przedsiębiorcą będzie indywidyum, czy spółka — to wszystko jedno. Jeżeli zaś nikt w kraju do tego ręki podać nie chce, czy dziwić się należy, że się znajdzie Niemiec lub Czech, który się pozna na tem, że tu jest interes do zrobienia, i że go zrobi?

Z poważaniem X.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

— Znane naszej publiczności z niedawnych występów w lwowskiej operze śpiewaczki występują obecnie: Pani Dowiakowska w teatrach włoskich, pani Jakowicka w Warszawie, pani Juniewicz w Moskwie, pani Miller-Czechowska w Rio-Janeiro w Brazylii, pani Wanda Bogdani w Paryżu, pani Kochańska w Atenach. Pani Kochańska znaną jest ze swej gry na skrzypcach, obecnie poświęciła się śpiewowi z wielkiem powodzeniem.

— *Nowiny* donoszą, że w tece pośmiertnej śp. Waleryana Wróblewskiego (Koronowicza), znalazło się kilka nader cennych a obszernych prac historycznych, których oceną i wydaniem zajmie się Jerzy Stecki, znany badacz naszych pamiątek.

— Jeden z prawników pracuje obecnie nad przekładem na język polski dzieła Herberta Spencera pt. „O wychowaniu pod względem fizycznym, moralnym i umysłowym.“

— Ukazał się listopadowy zeszyt *Biblioteki Warszawskiej*, w którym między innemi znajdujemy początek monografii historycznej nieznanego dotychczas u nas na tem polu pracownika p. Stanisława Lucasa p. t. „Erazm Ciołek, biskup płocki dyplomata polski z XVI wieku,“ oraz rzecz „O pismach Franzosa.“

— Czwarte wydanie „Logiki,“ napisanej przez Henryka Struvego, opuściło w tych dniach prasę drukarską Noskowskiego.

— Ukazała się w handlu księgarskim broszurowana odbitka doktora Lewittoux z nr. 249 *Echa*, zawierająca paralelę jego „Filozofii Natury“ i „Syntezy dwóch światów“ dra Struve.

Wiadomości ekonomiczne.

— Opracowany przez magistrat miasta Warszawy wykaz fabryk, pomiędzy innemi podaje wiadomość o liczbie zatrudnionych w nich robotników.

Pierwsze pod tym względem zajmuje miejsce fabryka machin parowych Rau'a, zatrudniająca 1.000 ludzi.

Fabryka tabaczna „Union“ daje robotę 873 osobom.

Takaż fabryka Polakiewicza 803.

W warstatach „Laferme“ pracuje 415 ludzi, u p. Jawitza 402.

W fabryce akcyjnej narzędzi rolniczych i odlewów żelaznych, jest pracowników 350 — w garbarni Temlera i Szwedego 236.

Fabryka gazu potrzebuje 224 ludzi, w fabryce machin parowych i odlewów żelaznych Szoltzego krząta się ich 208.

Fabryk i zakładów przemysłowych, funkcyonujących przy pomocy więcej niż sta ludzi każda, ma Warszawa w mieście ośm.

A mianowicie: fabryka wyrobów platerowanych Frageta, fabryka mebli giętych hr. Poletyłły, tabaczna A. W. Millera, garbarnia S. Pfeiffra, fabryka machin i odlewów żelaznych K. Rudzkiego, wyrobów metalowych B. Handkego, fabryka akcyjna wyrobów metalowych dla cukrowni i wreszcie wyrobów chemicznych A. Scholtzego.

Zaćmienia.

— W r. p. 1878 przypadają trzy zaćmienia: dwa słońca, a jedno księżyca, z których tylko jedno zaćmienie księżyca będzie u nas widzialne dokładnie.

Fortyfikacya.

— Budowa wysuniętych fortów pod Poznaniem, mianowicie VII i IX c. pod Jerzycami i Górczynem, posuniętą została w bieżącym roku znacznie dalej. Pomimo to potrwa jeszcze ze dwa lata, zanim forty te całkiem wykończone będą. Budowa innych projektowanych cytadel postępuje również szybko, jakkolwiek termin ich wykończenia dopiero za trzy lata jest naznaczony.

Wynalazki.

— Nowe ulepszenie w środkach ratunku od ognia ciągle się mnożą. Ludwik Scharloch w Hamburgu wynalazł nowy aparat sygnałowy. Jest to rodzaj dzwonu umieszczonego pod dachem. W razie ognia żar, jak wiadomo, najsilniej działa i postępuje ku dachowi.

Rozgrzany dzwon przy stosownym mechanizmie wydaje dźwięk ostrzegający o niebezpieczeństwie.

Nie przesądzając praktyczności nowego wynalazku, zwracamy nań uwagę zarządu straży ogniowej.

Wojna.

— Czytamy w Gazecie Lekarskiej: Czasopisma rosyjskie przepełnione są opisami trudnego i niewygodnego transportowania rannych w Bułgaryi (od Szypki do Frateszti 230 wiorst) i po kamienistych kaukazkich drogach w prostych wozach lub gruzyjskich arbach. Podróż taka dla ciężko rannych, których kładą nieraz po kilku na wóz, jest istną katuszą; kilka dni być wystawionym na okropne trzęsienie, gorąco, deszcz, kurz, a do tego nieraz cierpieć głód i być nieopatrywanym w drodze dla braku sanitarnego personalu — to coś okropnego. Transportowanie rannych na Kaukazie jest najsłabszą stroną kwestyi sanitarnej, powiada Dobrosławin. Nawet tych przedpotopowych wehikułów — mołomońskich niezgrabnych furgonów i tatarskich arb, które są zdolne przy transportowaniu na drogach kaukaskich ze zdrowych robić chorych, a u rannych rozwijać gangrenę członków ze śmiertelnem zejściem, nawet takich sposobów transportowania brakuje w tym kraju (Nowoje Wremia nr. 571). Z drugiej strony nieznaczna ilość sanitarnych, z przepychem urządzonych pociągów, zmusza ewakuacyjną komisyą w Jassach rozwozić chorych w przysposobionych w tym celu towarowych pociągach, w których nieraz brakuje nawet słomy dla podścielenia rannym i wody dla picia, nie mówiąc już o niemożebności opatrywania rannych podczas ruchu pociągu, gdyż między wagonami nie ma komunikacyi (Niediela nr. 37). Czyżby nie lepiej, sprawiedliwie powiada Nowoje Wremia (nr. 552), zamiast niepotrzebnego przepychu sanitarnych pociągów zawczasu urządzić kilka set lub kilka tysięcy resorowych ekwipaży (takich np. jak urządzają dr. Baranowski lub Markonet w Bukareszcie) i posłać takowe tam, gdzie ich najbardziej potrzebują. Czyżby nie lepiej, zamiast luster, elektrycznych dzwonków i jedwabnych szlafroków, zawiesić łóżka, postawić stoły i ławki w zwyczajnych 3-klasowych lub nawet towarowych wagonach, lecz urządzić takich wagonów co najwięcej?... I nieszczęśliwi ranni zyskaliby na tem“.

My ze swej strony dodamy, że byłoby bardzo pożądanem, aby rozsyłając chorych w rozmaite nieraz oddalone miejsca Cesarstwa i Królestwa, sortująca komisya naznaczała rzeczywiście chorych (do warszawskich szpitali np. przyjechało niemało albo rekonwalescentów, albo z zagojonemi nieznacznemi ranami palców, konchy usznej i tp.) i przytem co najwięcej miała na względzie miejsce urodzenia chorego i rannego, do wyzdrowienia których znacznie przyczynić się może zadowolenie z oglądania rodziny i krewnych. (Powyższy ustęp wyjmujemy z pism warszawskich. Czytając to, baczyć trzeba na cenzurę a wtedy sens jasny: 1. że bezwzględnie obchodzą się z rannymi, 2. że w okolice polskie przysyłają Moskali a nie nieszczęśliwych Polaków rannych. Gaz. Tor).

Wulkany.

— O wybuchu wulkanu Cotopaksi w Peru dnia 25 lipca donoszą dzienniki peruwiańskie: Ze wszystkich czeluści jednocześnie wytrysły całe strumienie gorącej wody, które spadając ze stoku po stronie Callas w gwałtownym pędzie porywały wszystko, co im stanęło w drodze. Rzeka Saquina także mocno wezbrała. Powódź nastąpiła tak nagle, że nawet z łąk nadbrzeżnych nie zdołano wyprowadzić 500 sztuk bydła, które zatonęły. Rzeki Alaques i Catuchio zrządziły niezmierne spustoszenia. Od pierwszego zaraz nawału wód wspaniała fabryka machin runęła jak domek z kart, a wiele innych gmachów uległo uszkodzeniu. Cała okolica podobną była do ogromnego jeziora, a miasto Calao z pewnością zostałoby do szczętu zburzone, gdyby powódź nie była dość wcześnie jeszcze zmieniła kierunku swego prądu tak, że masy wody uszły dawnemi łożyskami rzek. Przynajmniej 1000 ludzi znalazło śmierć w powodzi. Strata w trzodach jest ogromna; samego bydła rogatego zginęło 2000 sztuk. Podczas okropnego przewrotu tego w naturze, łoskotu walących się budynków i ryku fal, panowała w całej okolicy Latacungi od godziny 1 z południa do 10 w nocy zupełna ciemność, ponieważ wyrzucane z czeluści wulkanu olbrzymie masy popiołu gęstymi, czarnymi obłokami przysłoniły niebo całe aż po krańce widokręgu.

Konfiskata.

— Mowę żałobną, powiedzianą na pogrzebie księdza prałata Koźmiana w Archikatedrze poznańskiej przez ks. prałata Likowskiego, a wydaną nakładem p. Żupańskiego, skonfiskowała przedwczoraj policya pruska z powodu obrazy rządu; zabrano około 500 egzemplarzy.

— Księgarzowi p. J. Chociszewskiemu zabrała władza policyjna „Piasta“ Kalendarz ludowy i „Najnowsze proroctwo Ojca św.“ Ostatnie dziełko już było przeszło pół roku w obiegu, a ani w jednym, ani w drugiem niedopatrzyliśmy nic takiego, coby wobec praw pruskich było karygodnem. Konfiskaty dokonano na mocy §§. 185, 200 i 41 kodeksu karnego i §. 29 prawa prasowego.

Statystyka.

— Wychodźców z Europy przybyło do Nowego Jorku w roku 1876 według ogłoszonego właśnie wykazu urzędowego 75,035, tj. o 24,869 mniej niż w r. poprzednim.

ROZMAITOŚCI.

NADGROBEK INŻYNIERA W CHICAGO.

Tu leżą w poziomem położeniu
Szczątki
Jerzego Washingtona Browna
Inżyniera kotłów parowych
Którego zręczność i zdolność były odpowiednie
Do jego zajęcia.
Ogień był w nim zawsze podłożony — poziom wody po
Para — jak należy. [średni kurek
Manometr wskazywał każde ciśnienie
Regulowane klapą bezpieczeństwa.
I machina jego tak dobrze była regulowana,
Że się nigdy nie zdarzył wypadek.
Aż raz w sposób tajemniczy — był to dzień nieszczęśliwy —
Kocioł, machina i budynek,
Wszystko wyleciało w powietrze,
Wyżej niż lecą latawce!
Ś. p. Brown, z dziewięciu innymi oddał swą duszę
Za pomocą pary
W r. 46 życia. Cin innati. O., kwiecień 14, 1871
Pokój jego popiołom.

Złodziej o komunizmie. Jednego z uwięzionych we Lwowie za propagandę socyalistyczną zamknięto razem do jednej celi z pewnym złodziejem. — Apostoł socyalizmu zaczął nawracać złodzieja na swoję teoryę, ale natrafił na zaciętego „zwolennika“ moralnego porządku. Złodziej uznał za stosowne donieść o tem prezydentowi sądu Piątkowskiemu. „Dla czego mi to donosisz?“ — zapytał prezydent. — „Bo proszę pana — odrzekł złodziej — ja jestem temu przeciwny. Bo jakby wszyscy mieli równy majątek, to my złodzieje nie mielibyśmy co robić w takiem społeczeństwie.“

Na obiedzie u hrabiego de Mouchy zgromadzony był cały świat arystokracyi paryzkiej. Hrabia trzymając się tradycyi rodowych, zarządził rozdawanie potraw z zachowaniem godności rodowych.

Więc naprzód podawano książętom, następnie margrabiom, dalej hrabiom, w końcu wicehrabiom, — ten bowiem tytuł był najniższym między zgromadzonymi.

Po skończeniu obiadu wice hrabia Merinville zbliżywszy się do gospodarza, rzekł: „Doskonały był twój obiad, ale muszę ci wyznać prawdę, że prosty baron umarłby na nim z głodu..“

Powiedz mi moja droga — mówiła pewna mężatka do młodszej od siebie przyjaciółki — czemu jesteś niezadowoloną. Mąż twój kocha cię, żyje tylko dla ciebie, nie ma jednego nawet przyjaciela oprócz ciebie.

— Ach Boże — o to mi też właśnie idzie — odpowiedziała zasmucona.

Pan X. został obity przez własnego lokaja.

Czytelnicy! nie potępiajcie z góry energicznego famulusa, lecz wysłuchajcie sprawy od początku do końca.

U pana X. pewnego razu spełnioną została kradzież.

Przez kilka dni po tym wypadku w całym domu państwa X. nie myślano o niczem, tylko o złodziejach. Wszystkim zdawało się, iż tysiące rzezimieszków czyhają na ich dobro, we śnie nawet widzieli wstrętne twarze złoczyńców.

Najbardziej przejęty był obawą famulus państwa X. Szczególniej w nocy każdy szmer budził go ze snu co chwila, zdawało mu się, że słyszy ciche stąpanie rzezimieszków.

Pewnego razu młody pan X. przesiedział do późnej nocy w mieszkaniu swoich rodziców, poczem zamierzył zejść do swoich pokojów, pomieszczonych o piętro niżej.

Nie chcąc budzić osób, które już spały, pan X. skradał się cichaczem na palcach.

Kiedy już doszedł do przedpokoju, ktoś schwycił go gwałtownie za kołnierz.

— A mam cię hultaju! — ozwał się głos jakiś.

W głosie tym poznał pan X. swego famulusa.

— Łotrze, co robisz, to ja! — zawołał pan X. zmienionym nieco ze strachu głosem.

— Dam ja ci tu ja! — krzyknął służący i począł jeszcze lepiej okładać mniemanego złodzieja.

Dopiero po chwili wydało się qui pro quo, które naraziło pana X. na boleśne razy.

Pan X. mógł tylko pochwalić energicznego lokaja.

W Kalifornii umarł niedawno jeden z najzdolniejszych poszukiwaczów złota i przyjaciele jego postanowili sprawić mu wspaniały pogrzeb. Mowę nad grobem miał wygłosić jeden z kopaczów złota, który niegdyś był kaznodzieją amerykańskim. Grób wykopano w odległości stu sążni od żyły złota — trumnę ponieśli na swych barkach koledzy zmarłego i kiedy mowca rozpoczął, wszyscy padli na kolana. Mowa, co prawda, była dość długa i nudna, nie dziw więc, że ten i ów ze słuchaczów począł grzebać palcem w ziemi. Nagle jeden z nich znalazł kawałeczek złota, drugi to zauważył, pogrzebał w ziemi i także napotkał złoto, trzeci, czwarty i wkrótce całe towarzystwo silnie się wzburzyło. Mowca zauważył to, wstrzymał się, mrugnął oczami i zawołał: „Dzieci, co wam jest? co, złoto! Skończyłem mowę!“ Na to hasło kto tylko żył, porwał się na nogi, trumnę ze zwłokami nieboszczyka odsunięto na bok — wszyscy rzucili się do świeżo wykopanej mogiły i zaczęli ją rozkopywać tak usilnie, że pod wieczór cała ta okolica ożywiła się tłumem przeszło tysiącznym kopaczy złota.

Pewien utracyusz utrzymywał na swoje usprawiedliwienie, iż człowiek tem się różni od zwierząt, iż może zaciągać długi i pożyczać. Ładna maksyma, nie ma co mówić, a na nieszczęście w dzisiejszych czasach tak rozpowszechniona, iż coraz mniej dziś ludzi, którzyby w ten sposób swojego człowieczeństwa nie dowodzili.

Czegożbo ludzie już nie wypożyczają sobie oprócz pieniędzy w gotówce? Historya wierzycieli i dłużników byłaby niewątpliwie jedną z najczarniejszych kart w kronikach społecznych; dopóki wszakże żywi żywym p życzali, nie było w tem nic zdrożnego, ale postępowy wiek stworzył nowy rodzaj pożyczki — nieboszczykom.

W San Francisko utworzyło się towarzystwo wypożyczające trumny!

Za mierne wynagrodzenie można przez kilkadziesiąt godzin po śmierci paradować na katafalku w ozdobnej trumnie, z której człowieka dopiero nad samym grobem translokują do zwyczajnej skrzyni drewnianej i przysypują ziemią. Ma to być o tyle praktyczniejszem, że zmniejsza koszta pogrzebu i nadaje więcej wystawności temu smutnemu aktowi za tańsze pieniądze.

Brawo! nowy świat zaczyna spekulować na nieboszczykach, może zacofana Europa zechce go naśladować..

Przesilenie polityczne we Francyi posiada swoję komiczną stronę.

Dziennik bonapartystowski „Pays“, jak głosi wczorajsza depesza telegraficzna, żąda utworzenia gabinetu z 9 generałów dywizyi.

Z życia paryskiego. Miejsce akcyi jest bulwar; osobami: elegancki panicz i zasmolony, obdarty komisyoner. Panicz wręcza komisyonerowi wspaniały bukiet i bilet z adresem, pod którym ma być odstawiony. Obdarty człowiek spojrzał na adres, otarł łzę z oka i po krótkim wahaniu zwraca paniczowi bukiet mówiąc: „Nie — nie mogę tam zanieść tego; przysiągłem, że nigdy więcej nie zobaczę jej w życiu!“

Przed niedawnym czasem, pisze Kaliszanin, w osadzie Rychwale, do karczmarza Hoffmana przyszedł borowy z gminy Kościelec pod m. Kołem, i prosił o zmienienie 300 marek (papierami); karczmarz nie mając pieniędzy, dał znać o tem tamtejszym żydkom. Ci jak zawsze chciwi na pieniądze pruskie, i pewni zysku, złożyli 120 rs. rosyjskiemi pieniędzmi. Borowy ze zmienionemi pieniędzmi poszedł do Grodźca na jarmark, kupił dwie krowy i wracał z niemi przez Tuliszków do domu. Cóż się okazało? Marki pruskie... był to poprostu bilet z powinszowaniem urodzin, z jednej strony którego był odbity napis „500 marek“, z drugiej życzenia posiadania takowych. Naśladowanie było zupełne, wszyscy wzięli byli bilet zwyczajny za bilet bankowy.

Żydzi udali się do straży ziemskiej o pomoc, ta przytrzymała borowego z dwiema krowami w Tuliszkowie, i sprawa wytoczyła się przed sędziego śledczego w Koninie. Ten odesłał ją do sądu okręgowego kaliskiego, a ten ostatni podciągając ją pod kategoryą atrybucyi konińskiego sądu, zwrócił ją takowemu do rozpatrzenia. Sąd koniński po wybadaniu obwinionego i po sprawdzeniu, że ten otrzymał fałszywe marki jako spadek od familii w Prusiech, zupełnie jako nieświadomego czynu uwolnił od wszelkiej odpowiedzialności, a żydkowie rychwalscy ponieśli stratę.

Przygodę nielada miał niedawno, jak opowiadają dzienniki neapolitańskie, właściciel dóbr Milita z okolic Saponary, w dolno-włoskiej prowincyi Basilicata. Wracając wieczorem z folwarku swego do domu, w polu został opadnięty przez bandytów zamaskowanych i pomimo oporu, gdyż miał dubeltówkę z sobą, ostatecznie pokonany, a parobek, który mu na pomoc przybiegł, zastrzelony przez zbójców. Ci ostatni zawlekli Militę w góry, związanego zostawili pod strażą dwóch łotrów w jaskini, a tymczasem wyprawili posłańca do rodziny swego jeńca z żądaniem wysokiego okupu. Po dwóch dniach, przebytych w owej jaskini, nad ranem spostrzegł Milita, że strzegący go rabusie śpią twardo, wytężył więc wszystkie siły, ażeby pozbyć się więzów z rąk. Po jakimś czasie powiodło się mu to szczęśliwie, a wtedy pochwycił za sztylet jednego ze śpiących bandytów, w mgnieniu oka przeciął nim więzy na nogach i rzuciwszy się na łotrów, obu powalił pchnięciami na ziemię. Zabrał wtedy także swą dubeltówkę, oraz inną broń po zabitych i wymknął się cichaczem z jaskini, ale tam zetknął się znów z placówką zbójecką, która zmierzyła się zaraz do niego z pistoletu. Pistolet za pierwszym razem nie wypalił, a nim bandyta miał czas zmienić piston, już Milita, wskoczywszy za drzewo, z dubeltówki swojej powalił i jego, poczem nie napastowany już zdołał szczęśliwie dostać się do domu. Na drugi dzień w towarzystwie karabinierów powrócił do jaskini zbójeckiej, gdzie znaleziono jednego opryszka zabitego, a jednego ciężko rannego, reszta się rozproszyła.

Bandy brygantów mnożą się znowu w północnych Włoszech, zwłaszcza w Piemoncie. Jedna z band liczy przeszło 60 opryszków. Bryganci przyjęli nowy „system“ rozboju: zawsze są rozproszeni i tylko o oznaczonym z góry czasie zgromadzają się, zazwyczaj w nocy, w pewnem miejscu, ażeby wykonać zamierzony napad, który aż do ostatniej chwili jednemu tylko herszto i jest wiadomy. Ofiarą rozbojów padają głównie zamożniejsi włościanie.

PP. autorów, którzy życzą, aby ich prace rychłą ocenę w „Tygodniu“ znalazły, prosimy o nadsyłanie egzemplarzy do redakcyi.

Treść Nr. 13. str.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.) Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.